Ochotniczka

PISMO PSK

Rok I Listopad 1943 Nr 2

TREŚĆ NUMERU

1.	Listopad	*Wiktor Szyryński*
2.	* * *	*H.N.*
3.	Naczelny Wódz gen. broni Kazimierz Sosnkowski	
4.	Człowiek w Polsce	*Kazimierz Ryziński*
5.	Koleżeństwo w PSK	*Halina Puszczyńska*
6.	Miłosierdzie	*Jadwiga Żylińska*
7.	Moje świetlice	*Maria Dobkowa*
8.	Spotkanie	*Feliks Lachman*
9.	Jak cię widzą tak cię piszą	*Halina Jakubowska*
10.	Podziemna prasa kobiet w Kraju	*Maria Voit*
11.	Wspomnienia z Podchorążówki	*M. Trojanowska*
12.	„Staż" ochotniczek	*Ryta Naparlińska*
13.	Kantyny Polowe na ćwiczeniach	*Teresa Wittich*
14.	Fartuch pani Chrzanowskiej	*M. J. Wielopolska*
15.	Kronika	
16.	List do Redakcji	
17.	Piosenki PSK	

Zdjęcia wykonane przez Dział Fotograficzny, Oddziału Propagandy i Oświaty A.P.W.

Wydawca: *Inspektorat Główny P.S.K.*
Redakcja: *Komitet Redakcyjny*

„Ochotniczka" ukazuje się raz w miesiącu.

„Ochotniczkę" nabywać można w Inspektoracie Gł. P.S.K., w oddziałach P.S.K., w kantynach i świetlicach.

W Dzień Zaduszny na pustyni

Listopad

Skrzydlate na Wiśle łodzie
I młyn na Solcu pamiętam...
Znowu do mnie przychodzisz
Listopadowa legendo.
Złote jesienne liście
Łazienkowskiego gaju —
O szóstej łuna zabłyśnie,
Podchorążowie czekają.
Dudnią wozy po bruku,
Wozy z wiślanym piaskiem...
Serca w mundurach się tłuką
Spiskowcy czekają znaku.
Czas młode życie roztrwonić
W śmiałym, serdecznym zapale —
Uwaga ! podchorążowie ! —
Browar na Solcu się pali !

* * *

Chłopcy z Wolskiej i Miłej
I z czerniakowskich suteryn,
Czy wam się kiedyś śniło
Za honor Polski umierać,
Kiedy pod Belwederem
W oczy szeroko otwarte,
Garnęliście pyszny splendor
Podchorążackiej warty,
Że w strasznym tym huraganie,
Co się nad światem rozpętał,
I waszym udziałem się stanie
Listopadowa legenda?

* * *

W świat lecą jesienne liście
Łazienkowskiego gaju,
Rozmiotły nas wiatry losów
Po obcych, dalekich krajach.
Lecz wszędzie — sen spędza z powiek
Łuna na niebie krwawa.
Uwaga — podchorążowie !
To płonie cała Warszawa.
Zagasła już błyskawica
Podpalonego browaru —
Lecz dzisiaj — całe dzielnice
Krzyczą alarmem pożarów !

* * *

Napływa chłód listopada
W ulice posępne i nieme
Lecz łuna na niebie nie zbladła.
Podchorążowie — idziemy !

WIKTOR SZYRYŃSKI

* * *

Najdłużej, bo chyba póki życia, pozostaje w pamięci to, co nazywamy ogólnie przyrodą bliskich, swoich stron, a szerzej — przyrodą własnego kraju. W niej zamknięte jest bowiem wszystko: i małe, codzienne życie i obyczaj tego życia i wielkie sprawy, które składają się na dzieje Narodu. Dlatego też zmiennym krajobrazom naszego tułactwa przeciwstawiamy nasz rodzimy krajobraz, wspominając ze wzruszeniem — bez kwitnący w kraju, żniwa żyta w lipcu, słoty lub wczesne mrozy w listopadzie. Jak Tadeusz Soplica chwalimy nasze niebo, nasze drzewa, gotowi zwalczać snobizm każdej Pani Telimeny.

Uczucia te potęgują się w dniach wspominek i rocznic. W takich momentach wiemy o sobie — więc o dziejach naszych i naszym kraju i naszej przyrodzie — tak dużo i tak głęboko, że obecne ciężkie przeżycia stają się tym, czym są naprawdę: kartą historii, którą odwróci czas.

Listopad — miesiąc wspominek i rocznic — jest już piątym z rzędu w tej wojnie. W Polsce ranki sinieją stężałą mgłą przymrozków. Srebro szronu pokrywa złoto liści. Tylko cmentarze barwią się kwiatami w Dzień Zaduszny. Dnia 11 listopada, w Święto Narodowe, kwitły amarantowo-białe chorągwie. W wigilię 29 listopada w parku Łazienkowskim płomienie pochodni wydobywały z tła nocy granatową barwę mundurów podchorążych. Na dziedzińcu Belwederu w ten wieczór zaciągano wartę. Kiedyś w oknie pałacu stawał Marszałek Piłsudski i patrząc na świąteczną inscenizację, widział twardą i oporną rzeczywistość Polski.

Zwracamy twarze w tamtą stronę, gdzie, mimo wszystko, żywi jeszcze nie zazdroszczą umarłym, ponieważ ciągle tak samo wierzą w wolność i zwycięstwo. Spiskowcy dzisiejsi — żołnierze nie w mundurach — o ileż świetniejsi są od tamtych swoim długotrwaniem, wbrew koniunkturom wojny i polityki. Bo oto już piąty raz nadchodzi i mija listopad w tym kraju, podminowanym zarówno przez tajne spiski jak przez groby pomordowanych.

W „Nocy Listopadowej" Wyspiańskiego dożywotni więzień rosyjskich kazamat — Walerian Łukasiński, nasłuchując odgłosów powstającej Warszawy, mówi:

„O, pójdziesz ty kiedyś
mój duchu, na gody
za kaźń twą, żywota gorycze!
W tych dzwonach z Warszawy
do ciebie to gońce...
Witaj — jutrzenko — swo — bo — dy,
za — to — bą — zba — wie — nia Słońce!"

Dziś na te gody przygotowują się umarli i żywi. Bo wszyscy, gdziekolwiek dziś jesteśmy, mamy swój udział w kaźniach i w goryczach żywota.

Rocznicowe sprawy powinny jednak ustąpić miejsca wydarzeniom współczesnym, aby dzieje narodu szły dalej nowymi porywami i nowymi czynami. Najsmutniejszy listopad nie rozminie się więc nigdy z nadzieją, a tęsknota za srebrzystą barwą polskich listopadowych dni, zamieni się na wytrwałość.

To właśnie trzeba sobie dziś powiedzieć — że wszystko, co przeżywamy, przetwarza się w Polskę wolną, silną i całą. Bijąc się o Nią, chcemy Ją odzyskać na zawsze.

„A zapytacie, z czego wziąć siłę i wznosić
Po nie wiadomo, który raz poczęte dzieło,
Czy śmierci nie za mało, katakumb nie dosyć,
Gdzie tyle ognia zgasło, tyle krwi spłynęło,
Z czego ludzi budować, gdy okrutne cięcie
Po twarzy i po dziejach przeszło znów jak skaza, —
Powiadam Wam — jest jedno na wszystko zaklęcie
I jedna nieprzebyta jest przed nami kolej,
Czy to kogo upaja czy to kogo boli:
Z żelaza muszą powstać Polacy, — z żelaza."

Poeta Kazimierz Wierzyński używa wyrazu „żelazo" dosłownie i w przenośni. Polska musi być zbrojna w swoim żołnierzu, w swojej armii. Musi też mieć żelazną wytrwałość w codziennej pracy i żelazną wolę istnienia jako państwo.

Zamglony krajobraz naszej późnej jesieni zbliża się dziś do nas, tułaczy, i urzeka nas swoim smutnym urokiem. Nie po to jednak, żebyśmy osłabli z tęsknoty, ale po to, żebyśmy byli silni miłością i wytrwaniem.

H. N.

Modlitwa za poległych i pomordowanych

Naczelny Wódz
Generał Broni Kazimierz Sosnkowski

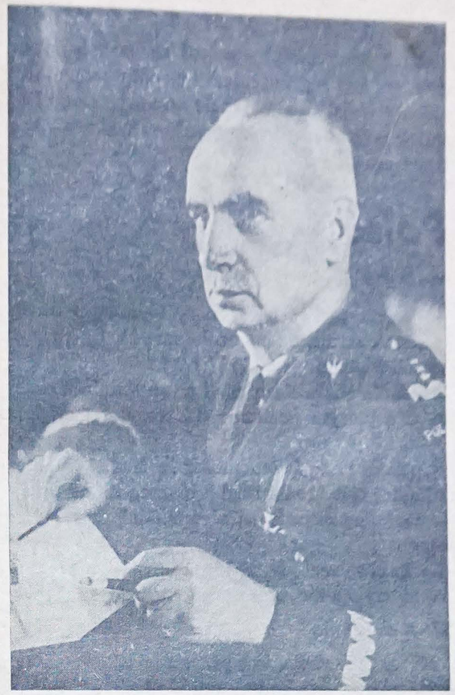

Generał Kazimierz Sosnkowski należy do tych, którzy tkwią swoją młodością w ruchu niepodległościowym, którzy rozpoczęli swój marsz ku wolnej Ojczyźnie walką na śmierć i życie. Los tak zrządził, że walkę tę trzeba toczyć znowu i znowu podejmować odpowiedzialność za sprawy już raz wywalczone i zdobyte. Gen. Sosnkowski stanął do tej pracy dziś w pełni sił, i doświadczeń, które nie gaszą entuzjazmu, ale wspomagają wiedzą i głębią poznania.

Młodość gen. Sosnkowskiego to — P.P.S., Związek Walki Czynnej, Strzelec, Legiony... Gdy wybucha wojna 1914 r., sprawa polska została wydobyta przez Piłsudskiego z podziemi na światło — na jawną wojnę z wrogiem. Kazimierz Sosnkowski w stopniu podpułkownika zostaje wówczas Szefem Sztabu I Brygady Legionów i jest najbliższym współpracownikiem oraz zastępcą Komendanta Piłsudskiego. 13-go sierpnia 1914 r. dowodzi w bitwie pod Kielcami, w tym pierwszym boju Legionów. Dowodzi w bitwie pod Łowczówkiem w grudniu 1914 r. i w bitwie pod Kołkami na Wołyniu w r. 1915.

Sprawa naszej ówczesnej wojny, więc ściślej — sprawa Legionów przechodzi w toku akcji wielorakie okresy w sensie politycznym. Ustosunkowanie się zaborców do nas ulega zmianom, a kiedy Niemcy zażądali rekrutacji Polaków do armii niemieckiej i spotkali się z odmową Piłsudskiego, aresztują Wodza Legionów a wraz z nim płk. Sosnkowskiego w r. 1917. Osadzają obu w twierdzy magdeburskiej. Fortuna jednak toczy się kołem. Następuje załamanie się Niemiec. Dnia 10 listopada 1918 r. Komendant Piłsudski i płk. Sosnkowski odzyskują wolność, przybywają do Warszawy. Polska wkracza w niepodległość. Państwo odradza się.

Sosnkowski mianowany generałem obejmuje stanowisko wiceministra spraw wojskowych, następnie dowodzi armią rezerwową. W okresie wojny sowiecko-polskiej (1920) jest ministrem spraw wojskowych, przypada mu więc trud organizacji, wyposażenia i zaopatrzenia wojska w państwie młodym, nie zagospodarowanym jeszcze, w państwie otoczonym przez nieżyczliwych sąsiadów, sabotujących transporty broni i amunicji.

Po zwycięstwie nad bolszewikami, gen. Sosnkowski tworzy podstawy pokojowej organizacji wojska polskiego. W latach 1924—26 jest dowódcą O.K. w Poznaniu, a następnie, aż do wybuchu wojny 1939 r. Inspektorem Armii.

Wrzesień 1939 roku. Gen. Sosnkowski jest twórcą planu obrony Warszawy. Dnia 7-go września otrzymuje zlecenie udania się do Brześcia w charakterze zastępcy Naczelnego Wodza. Na tym odcinku zostaje niedługo, bo do przybycia tu Naczelnego Wodza. Przedkłada swój plan oparty na dwóch wytycznych: 1) nieustępliwej obrony Warszawy i 2) jak najdłuższego przeciągnięcia walki na ziemiach Polski.

Dnia 11 września Naczelny Wódz zlecił gen. Sosnkowskiemu objęcie dowództwa nad frontem południowym. Natychmiast po otrzymaniu tej nominacji, wydaje gen. Sosnkowski zarządzenia mające na celu obronę Lwowa. Walki o Lwów trwały od 13 do 21 września. Generał Sosnkowski był zawsze wśród żołnierzy, w czasie boju niejednokrotnie przebywał w pierwszej linii. W żołnierzy zgnębionych klęskami i rozbiciem, wstąpił nowy duch. Odzyskali zaufanie do dowódcy i świadomość tego, że trzeba się bić do ostatka. Południowa armia biła się więc o Przemyśl, stoczyła bitwy pod Birczą, pod Krasiczynem, biła się o Babice i Sądową Wisznię, o lasy janowskie, Brzuchowice. Wielkim sukcesem gen. Sosnkowskiego było rozbicie w nocy z 15 na 16 września dywizji niemieckiej na północ od Sądowej Wiszni. Najchlubniejszą kartą w tej kampanii był bój w lasach janowskich, gdzie oddziały gen. Sosnkowskiego odpowiadające już wówczas liczebnością jednemu pułkowi piechoty, przeciwstawiły się natarciu trzech dywizji niemieckich.

18-go września — wiadomość, że 17-go wkroczyły wojska sowieckie i rozkaz, żeby oddziały polskie przebijały się do granicy węgierskiej albo rumuńskiej. Gen. Sosnkowski postanowił więc przerzucić się w lasy brzuchowickie, aby nawiązać kontakt z załogą lwowską. Tu nastąpiła ostatnia bitwa gen. Sosnkowskiego w tej kampanii — pod Brzuchowicami. Gen. przebywał cały czas w ogniu, w pierwszej linii. Wśród krwawych walk oddziały polskie dotarły na odległość 5 km do rogatek lwowskich, ale nieprzyjaciel napierał z tyłu i brakło amunicji. W tych warunkach, rozdzieliwszy swą grupę na małe oddziały, gen. Sosnkowski rozpoczął marsz ku granicy.

Po długim, pełnym przygód marszu, zdołał gen. Sosnkowski z paru towarzyszami, w chłopskim przebraniu,

przedostać się 4-go października 1939 r. przez Karpaty na Węgry. Stamtąd wyjechał do Francji, gdzie został wyznaczony przez Prezydenta Rzeczypospolitej jako jego zastępca. Ponadto był gen. Sosnkowski członkiem Rządu Polskiego we Francji, a następnie, gdy Rząd nasz przeniósł się do W. Brytanii, pozostawał przez jakiś czas w jego składzie. Ustąpił ze swojego stanowiska — w lipcu 1941 r.

Po objęciu stanowiska Naczelnego Wodza, wydał rozkaz, w którym między innymi powiedział: „Nasi bracia w Kraju, którzy prowadzą ciężką, bohaterską walkę, są dla nas najlepszym wzorem cnót żołnierskich. Od wszystkich żądam nieustannego pogłębiania wiedzy wojskowej, właściwego stosunku zwierzchników do żołnierzy, dla których powinni oni być nie tylko przełożonymi, lecz wychowawcami i opiekunami... Po długich dniach wysiłku nadejdzie chwila, gdy Bóg pozwoli nam stanąć na Ziemi Ojczystej".

Generał Sosnkowski wyszedł ze szkoły Marszałka Piłsudskiego. Był Jego uczniem i współpracownikiem. Wysokie ideały wojskowe, poczucie odpowiedzialności za całość spraw polskich, nieustępliwość w walce — oto cechy gen. Sosnkowskiego.

Człowiek w Polsce

Szkic założeń wychowawczych

Zarówno w rodzinie jak i w szkole kobieta wychowuje młodzież. Jej wpływ na kształtowanie się charakterów jest decydujący. Czy jako pedagog w szkole, czy jako matka — bierze więc na siebie dużą odpowiedzialność i powinna się orientować w założeniach wychowawczych. To, co teraz przeżywamy, zmusza nas do rozpatrzenia wszystkich czynników, które uchronią w przyszłości nasze Państwo od ponownego kataklizmu. Szkic niniejszy rozważa szczególnie ważne dla nas zagadnienie: „Jakiego chcemy mieć człowieka w Polsce?".

I. Człowiek najważniejszym czynnikiem

Polska, albo będzie wielką potęgę, albo nie będzie jej wcale. Prawdę tę potwierdza cała nasza historia łącznie z wojną ostatnią. Musimy więc być potęgą. Stworzenie jej jednak i utrzymanie wymaga wielkich czynów i ogromnego wysiłku. Polsce zatem są potrzebni ludzie czynu. Co by nam przyszło z tego, gdyby np. w wyniku wojny stworzono Europę środkową z Polską jako rdzeniem, jeśliby w tej Polsce człowiek był bez inicjatywy, niesolidny, niezdolny do twórczych i wielkich wysiłków. Wszystko to rozleciałoby się w bardzo krótkim czasie.

Człowiek jest czynnikiem decydującym, a zagadnienie człowieka jest ważniejsze nawet niż sprawy takiej wagi, jak ustrój państwa, czy reforma rolna. Ukształtowaniu człowieka trzeba więc wszystko poświęcić.

Musi on posiadać:

— dostateczną wiedzę,
— doskonałą sprawność fizyczną,
— wspaniałą postawę moralną.

II. Charakter stanowi o wartości człowieka

Wszystkie te podstawowe czynniki są ważne, ale najważniejszy wśród nich jest czynnik moralny, w którego skład wchodzą charakter i idea.

Wiedza jest w życiu na pewno bardzo potrzebna, ale wartości moralne są nieodzowne, gdyż one rozstrzygają. Iluż to ludzi o wielkiej wiedzy przeszło przez życie bez śladu, niczego nie dokonawszy i niczego nie osiągnąwszy tylko dlatego, że brakło im charakteru. A ilu znowu ludzi bez wiedzy, a z dużym charakterem weszło na szczyty powodzenia, stworzyło duże fortuny i rozwinęło całe gałęzie przemysłu, bo człowiek z charakterem zdobędzie i wiedzę w zakresie mu potrzebnym. Najwięksi przywódcy narodów, to wcale nie ludzie o największej wiedzy, to ludzie o największych charakterach w swoim narodzie. Wychodzili oni często gdzieś z najniższych dołów i dźwigali się mocą swego charakteru na czoło narodu, by go prowadzić po drogach historii.

Urabianie charakteru czyli wychowanie trzeba postawić na najwyższym poziomie. Do tego jednak konieczne są:

— powszechna świadomość, że trzeba mu poświęcić przynajmniej tyle troski i zabiegów, co nauczaniu,
— dokładne określenie, o co chodzi, czyli jaki cel ma ono osiągnąć,
— właściwe metody, najprościej prowadzące do celu.

Zajmiemy się na razie celem wychowania.

III. Cel wychowania

Celem wychowania jest przygotować człowieka do życia. Życie zaś, to działanie, czyli walka, ustosunkowanie się do spraw i ludzi. W życiu nie jest to ważne, co człowiek czyta i jaką ma wiedzę książkową, ale czy potrafi osiągnąć przewagę w walce, jak postępuje i jak się zachowuje. Uczeni wcale nie zachowują się lepiej niż nieuczeni, bo zachowanie się nie jest wynikiem wiedzy, lecz wychowania.

Wychowanie składa się z dwóch zasadniczych działów:

1. Przygotowanie człowieka do działania, czyli do walki, więc rozwinięcie jego charakteru oraz tych wszystkich cech i przymiotów, które usprawniają go do działania. Jest to więc uzbrajanie człowieka.

2. Danie człowiekowi takiego światopoglądu i pionu moralnego, by swojej broni, czyli sprawności działania używał zgodnie z interesem narodu i społeczności, wśród której żyje. Człowiek bowiem z charakterem, a bez odpowiednich więzów moralnych, może być szkodnikiem, tym większym im większy będzie miał charakter.

IV. Zasadnicze założenia wychowawcze

Wychowanie całego narodu musi bięc jednym zwartym nurtem i prowadzić do osiągnięcia dokładnie określonego wzoru. Tego wzoru wychowawczego nie możemy przyjąć od obcych, ani też obmyśleć go w sposób teoretyczny i dowolny, oparłszy się na spekulacji myślowej.

Każdy naród innego potrzebuje człowieka. Inaczej będzie go wychowywał naród szczęśliwy, bogaty, któremu nikt nie zagraża, a inaczej biedny, narażony na uderzenia sąsiadów. Inaczej o dużej, a inaczej o małej sile rozrodczej. Podstawowe więc założenia wychowawcze muszą wyrastać z żywego pnia narodu, a w szczególności:

A. z jego położenia,

B. z idei jaka go ożywia, czyli zadań jakie ma wykonać,

C. z jego charakteru, czyli wad i przymiotów narodu.

A. Nasze położenie

Nasze położenie jest takie:

Na zachodzie mamy 80 milionów Niemców, na wschodzie 160 milionów poddanych sowieckich. Jedni i drudzy chcą nas zniszczyć. Dla Niemców stanowimy przeszkodę w ich pochodzie na wschód, po przestrzeń życiową, bogactwo i niewolników. Dla Rosji jesteśmy taką samą zaporą w jej parciu na zachód. My jedni przeszkadzamy jej w zjednoczeniu wszystkich Słowian w morzu rosyjskim. Co więcej, stanowimy jedyny czynnik konkurencyjny, który może skupić około siebie inne narody słowiańskie.

Nienawiść i odwieczne parcie na nas tak Niemców jak i Moskali wynika z ich racji i dlatego nie da się powstrzymać żadnymi ustępstwami z naszej strony, ani dobrą wolą, ani umowami. Można je zatamować jedynie tylko siłą.

Kraj nasz nie jest z natury bogaty. Ponadto dorobek każdego pokolenia był niszczony przez naszych wrogów. Te fakty sprawiły, że jesteśmy narodem biednym, pozostającym w różnych punktach w tyle poza innymi narodami.

Z tego położenia wynika, że musimy tworzyć wielką siłę, być stale gotowi do walki i równać się z innymi narodami. Człowiek w Polsce musi więc być zdolny:

1) do dokonania licznych i wielkich czynów,
2) do dużej ofiarności na rzecz narodu i społeczeństwa,
3) do walki z przewagą przeciwnika.

B. Idea

Ideą przewodnią narodu jest taka Polska, która zapewni prawo do życia swoim obywatelom i innym narodom zagrożonym przez imperializm. Taka Polska, której już nikt nie będzie mógł najeżdżać i niszczyć dorobku każdego pokolenia. Taka, która zapewni bezpieczeństwo przez drogę do pełnego rozwoju, do piękna, siły i radości. Polska, która będzie rdzeniem Europy środkowej, zjednoczonej na podstawie: — prawa każdego narodu do życia, do wolności i pełnego rozwoju, — braterstwa i współpracy narodów, — przeciwstawiania się zbrodniom imperializmów.

Idea ta wymaga: 1) nastawienia człowieka w Polsce na wielkość, 2) wielkich czynów, 3) wielkoduszności, szczerości i ducha kompromisu wobec swoich a twardej bezwzględności wobec wrogów, 4) woli i umiejętności przewodzenia, 5) dużych wartości organizacyjnych.

C. Nasz charakter

Polacy posiadają liczne zalety, ale też i liczne wady charakteru. Zalet naszych, które nas zaszczytnie wyróżniają wśród innych narodów, nie będziemy wyliczać, zajmiemy się tylko wadami, które można podzielić na pewne grupy.

— Jedne z nich pomniejszają zdolność działania człowieka, czyli sprawiają, że nie jest on dostatecznie dobrze uzbrojony do osiągania przewagi w walce. Tu należą: — miękkość, a w jej następstwie łatwe zniechęcanie się, — brak wytrwałości, uporu, zdecydowania i karności; — lenistwo, brak ducha przebojowego i zdobywczego; — obawa przed trudem życia i niechęć brania odpowiedzialności na siebie, niedokładność w wykonaniu czynności; — nieuczciwość, z którą się łączy i nieścisłość.

Inne wady utrudniają współżycie i pomniejszają wydajność pracy zespołowej. Tu należą: — pochlebstwo i uniżoność wobec jednych, pyszałkowatość i rozdymanie się wobec drugich; — intryganctwo i dokuczliwość; — zawiść i nieszczerość; — próżność i fałszywa ambicja błyszczenia; — brak kulturalnych sposobów współżycia.

V. Jakiego chcemy mieć człowieka?

1. *Sylwetka ogólna*

Polsce jest potrzebny:

— Człowiek charakteru i czynu, zdolny do osięgania, w walce ekspansywny i zdobywczy, z wolą czynienia lepiej niż drudzy.

— Zdolny do bezinteresownych ofiar na rzecz państwa i ustosunkowany do niego służebnie, a nie eksploatacyjnie.

— Skromny, szczery i rycerski, wielkoduszny dla swoich i przyjaciół, bezwzględny i niemiłosierny dla wrogów i dla wszystkiego co złe.

— Uspołeczniony, umiejący kulturalnie współżyć z drugimi. Taki człowiek powinien mieć odpowiednie cechy charakteru, określony pion moralny i właściwy światopogląd.

2. *Charakter*

Spośród licznych cech charakteru konieczne są następujące: — inicjatywa, zdecydowanie, przebojowość, odwaga myśli i czynu; — rzetelność, dokładność, prawdomówność i odpowiedzialność; — twardość, opanowanie, wytrzymałość i upór; — zmysł organizacji i ładu, karność; — humor.

3. *Pion moralny*

Człowiek o mocnym charakterze musi mieć silne więzy moralne, które wyżłobią jego oblicze, oraz normować będą jego stosunek do narodu i drugiego człowieka.

Podstawowe nakazy moralne są następujące: — Polak ma ambicję iść o własnych siłach, wstydzi się protekcji; — jest rycerski, szczery i skromny, nie zna zawiści i nie jest brutalny; — ma odwagę cywilną, twardy kark i poczucie godności; — mówi prawdę, brzydzi się pochlebstwem i uniżonością.

*

Nie ma zasług wobec własnego narodu, są tylko obowiązki; co szkodzi narodowi lub innym Polakom, jest na pewno złe; nie wolno mówić wobec obcych źle o Polsce i Polakach; decyduje zawsze interes narodu, nigdy osobisty lub grupowy.

*

Polak nie da się nigdy użyć przeciwko innym Polakom. Pomaga im po bratersku, natomiast jest bezwzględny dla wrogów i wszystkiego co złe; wobec obcych staje zawsze po stronie Polaka; stosuje tylko rzeczową krytykę, nie posługuje się nigdy napaścią; nie obraża się, gdy go inni krytykują.

W naszych warunkach jest konieczne danie następującego światopoglądu:

— Jesteśmy skazani na wielkość tzn. albo stworzymy wielką potęgę albo zostaniemy niczym. Ponieważ chcemy

przedostać się 4-go października 1939 r. przez Karpaty na Węgry. Stamtąd wyjechał do Francji, gdzie został wyznaczony przez Prezydenta Rzeczypospolitej jako jego zastępca. Ponadto był gen. Sosnkowski członkiem Rządu Polskiego we Francji, a następnie, gdy Rząd nasz przeniósł się do W. Brytanii, pozostawał przez jakiś czas w jego składzie. Ustąpił ze swojego stanowiska — w lipcu 1941 r.

Po objęciu stanowiska Naczelnego Wodza, wydał rozkaz, w którym między innymi powiedział: „Nasi bracia w Kraju, którzy prowadzą ciężką, bohaterską walkę, są dla nas najlepszym wzorem cnót żołnierskich. Od wszystkich żądam nieustannego pogłębiania wiedzy wojskowej, właściwego stosunku zwierzchników do żołnierzy, dla których powinni oni być nie tylko przełożonymi, lecz wychowawcami i opiekunami... Po długich dniach wysiłku nadejdzie chwila, gdy Bóg pozwoli nam stanąć na Ziemi Ojczystej".

Generał Sosnkowski wyszedł ze szkoły Marszałka Piłsudskiego. Był Jego uczniem i współpracownikiem. Wysokie ideały wojskowe, poczucie odpowiedzialności za całość spraw polskich, nieustępliwość w walce — oto cechy gen. Sosnkowskiego.

Człowiek w Polsce

Szkic założeń wychowawczych

Zarówno w rodzinie jak i w szkole kobieta wychowuje młodzież. Jej wpływ na kształtowanie się charakterów jest decydujący. Czy jako pedagog w szkole, czy jako matka — bierze więc na siebie dużą odpowiedzialność i powinna się orientować w założeniach wychowawczych. To, co teraz przeżywamy, zmusza nas do rozpatrzenia wszystkich czynników, które uchronią w przyszłości nasze Państwo od ponownego kataklizmu. Szkic niniejszy rozważa szczególnie ważne dla nas zagadnienie: „Jakiego chcemy mieć człowieka w Polsce?".

I. Człowiek najważniejszym czynnikiem

Polska, albo będzie wielką potęgą, albo nie będzie jej wcale. Prawdę tę potwierdza cała nasza historia łącznie z wojną ostatnią. Musimy więc być potęgą. Stworzenie jej jednak i utrzymanie wymaga wielkich czynów i ogromnego wysiłku. Polsce zatem są potrzebni ludzie czynu. Co by nam przyszło z tego, gdyby np. w wyniku wojny stworzono Europę środkową z Polską jako rdzeniem, jeśliby w tej Polsce człowiek był bez inicjatywy, niesolidny, niezdolny do twórczych i wielkich wysiłków. Wszystko to rozleciałoby się w bardzo krótkim czasie.

Człowiek jest czynnikiem decydującym, a zagadnienie człowieka jest ważniejsze nawet niż sprawy takiej wagi, jak ustrój państwa, czy reforma rolna. Ukształtowaniu człowieka trzeba więc wszystko poświęcić.

Musi on posiadać:

— dostateczną wiedzę,
— doskonałą sprawność fizyczną,
— wspaniałą postawę moralną.

II. Charakter stanowi o wartości człowieka

Wszystkie te podstawowe czynniki są ważne, ale najważniejszy wśród nich jest czynnik moralny, w którego skład wchodzą charakter i idea.

Wiedza jest w życiu na pewno bardzo potrzebna, ale wartości moralne są nieodzowne, gdyż one rozstrzygają. Iluż to ludzi o wielkiej wiedzy przeszło przez życie bez śladu, niczego nie dokonawszy i niczego nie osiągnąwszy tylko dlatego, że brakło im charakteru. A ilu znowu ludzi bez wiedzy, a z dużym charakterem weszło na szczyty powodzenia, stworzyło duże fortuny i rozwinęło całe gałęzie przemysłu, bo człowiek z charakterem zdobędzie i wiedzę w zakresie mu potrzebnym. Najwięksi przywódcy narodów, to wcale nie ludzie o największej wiedzy, to ludzie o największych charakterach w swoim narodzie. Wychodzili oni często gdzieś z najniższych dołów i dźwigali się mocą swego charakteru na czoło narodu, by go prowadzić po drogach historii.

Urabianie charakteru czyli wychowanie trzeba postawić na najwyższym poziomie. Do tego jednak konieczne są:

— powszechna świadomość, że trzeba mu poświęcić przynajmniej tyle troski i zabiegów, co nauczaniu,
— dokładne określenie, o co chodzi, czyli jaki cel ma ono osiągnąć,
— właściwe metody, najprościej prowadzące do celu.

Zajmiemy się na razie celem wychowania.

III. Cel wychowania

Celem wychowania jest przygotować człowieka do życia. Życie zaś, to działanie, czyli walka, ustosunkowanie się do spraw i ludzi. W życiu nie jest to ważne, co człowiek czyta i jaką ma wiedzę książkową, ale czy potrafi osiągnąć przewagę w walce, jak postępuje i jak się zachowuje. Uczeni wcale nie zachowują się lepiej niż nieuczeni, bo zachowanie się nie jest wynikiem wiedzy, lecz wychowania.

Wychowanie składa się z dwóch zasadniczych działów:

1. Przygotowanie człowieka do działania, czyli do walki, więc rozwinięcie jego charakteru oraz tych wszystkich cech i przymiotów, które usprawniają go do działania. Jest to więc uzbrajanie człowieka.

2. Danie człowiekowi takiego światopoglądu i pionu moralnego, by swojej broni, czyli sprawności działania używał zgodnie z interesem narodu i społeczności, wśród której żyje. Człowiek bowiem z charakterem, a bez odpowiednich więzów moralnych, może być szkodnikiem, tym większym im większy będzie miał charakter.

IV. Zasadnicze założenia wychowawcze

Wychowanie całego narodu musi bięc jednym zwartym nurtem i prowadzić do osiągnięcia dokładnie określonego wzoru. Tego wzoru wychowawczego nie możemy przyjąć od obcych, ani też obmyśleć go w sposób teoretyczny i dowolny, oparłszy się na spekulacji myślowej.

Każdy naród innego potrzebuje człowieka. Inaczej będzie go wychowywał naród szczęśliwy, bogaty, któremu nikt nie zagraża, a inaczej biedny, narażony na uderzenia sąsiadów. Inaczej o dużej, a inaczej o małej sile rozrodczej. Podstawowe więc założenia wychowawcze muszą wyrastać z żywego pnia narodu, a w szczególności:

A. z jego położenia,
B. z idei jaka go ożywia, czyli zadań jakie ma wykonać,
C. z jego charakteru, czyli wad i przymiotów narodu.

A. Nasze położenie

Nasze położenie jest takie:

Na zachodzie mamy 80 milionów Niemców, na wschodzie 160 milionów poddanych sowieckich. Jedni i drudzy chcą nas zniszczyć. Dla Niemców stanowimy przeszkodę w ich pochodzie na wschód, po przestrzeń życiową, bogactwo i niewolników. Dla Rosji jesteśmy taką samą zaporą w jej parciu na zachód. My jedni przeszkadzamy jej w zjednoczeniu wszystkich Słowian w morzu rosyjskim. Co więcej, stanowimy jedyny czynnik konkurencyjny, który może skupić około siebie inne narody słowiańskie.

Nienawiść i odwieczne parcie na nas tak Niemców jak i Moskali wynika z ich racji i dlatego nie da się powstrzymać żadnymi ustępstwami z naszej strony, ani dobrą wolą, ani umowami. Można je zatamować jedynie tylko siłą.

Kraj nasz nie jest z natury bogaty. Ponadto dorobek każdego pokolenia był niszczony przez naszych wrogów. Te fakty sprawiły, że jesteśmy narodem biednym, pozostającym w różnych punktach w tyle poza innymi narodami.

Z tego położenia wynika, że musimy tworzyć wielką siłę, być stale gotowi do walki i równać się z innymi narodami. Człowiek w Polsce musi więc być zdolny:

1) do dokonania licznych i wielkich czynów,
2) do dużej ofiarności na rzecz narodu i społeczeństwa,
3) do walki z przewagą przeciwnika.

B. Idea

Ideą przewodnią narodu jest taka Polska, która zapewni prawo do życia swoim obywatelom i innym narodom zagrożonym przez imperializm. Taka Polska, której już nikt nie będzie mógł najeżdżać i niszczyć dorobku każdego pokolenia. Taka, która zapewni bezpieczeństwo przez drogę do pełnego rozwoju, do piękna, siły i radości. Polska, która będzie rdzeniem Europy środkowej, zjednoczonej na podstawie: — prawa każdego narodu do życia, do wolności i pełnego rozwoju, — braterstwa i współpracy narodów, — przeciwstawiania się zbrodniom imperializmów.

Idea ta wymaga: 1) nastawienia człowieka w Polsce na wielkość, 2) wielkich czynów, 3) wielkoduszności, szczerości i ducha kompromisu wobec swoich a twardej bezwzględności wobec wrogów, 4) woli i umiejętności przewodzenia, 5) dużych wartości organizacyjnych.

C. Nasz charakter

Polacy posiadają liczne zalety, ale też i liczne wady charakteru. Zalet naszych, które nas zaszczytnie wyróżniają wśród innych narodów, nie będziemy wyliczać, zajmiemy się tylko wadami, które można podzielić na pewne grupy.

— Jedne z nich pomniejszają zdolność działania człowieka, czyli sprawiają, że nie jest on dostatecznie dobrze uzbrojony do osiągania przewagi w walce. Tu należą: — miękkość, a w jej następstwie łatwe zniechęcanie się, — brak wytrwałości, uporu, zdecydowania i karności; — lenistwo, brak ducha przebojowego i zdobywczego, — obawa przed trudem życia i niechęć brania odpowiedzialności na siebie, niedokładność w wykonaniu czynności; — nieuczciwość, z którą się łączy i nieścisłość.

Inne wady utrudniają współżycie i pomniejszają wydajność pracy zespołowej. Tu należą: — pochlebstwo i uniżoność wobec jednych, pyszałkowatość i rozdymanie się wobec drugich; — intryganctwo i dokuczliwość; — zawiść i nieszczerość; — próżność i fałszywa ambicja błyszczenia; — brak kulturalnych sposobów współżycia.

V. Jakiego chcemy mieć człowieka?

1. *Sylwetka ogólna*

Polsce jest potrzebny:

— Człowiek charakteru i czynu, zdolny do osięgania w walce ekspansywny i zdobywczy, z wolą czynienia lepiej niż drudzy.

— Zdolny do bezinteresownych ofiar na rzecz państwa i ustosunkowany do niego służebnie, a nie eksploatacyjnie.

— Skromny, szczery i rycerski, wielkoduszny dla swoich i przyjaciół, bezwzględny i niemiłosierny dla wrogów i dla wszystkiego co złe.

— Uspołeczniony, umiejący kulturalnie współżyć z drugimi. Taki człowiek powinien mieć odpowiednie cechy charakteru, określony pion moralny i właściwy światopogląd.

2. *Charakter*

Spośród licznych cech charakteru konieczne są następujące: — inicjatywa, zdecydowanie, przebojowość, odwaga myśli i czynu; — rzetelność, dokładność, prawdomówność i odpowiedzialność; — twardość, opanowanie, wytrzymałość i upór; — zmysł organizacji i ładu, karność; — humor.

3. *Pion moralny*

Człowiek o mocnym charakterze musi mieć silne więzy moralne, które wyżłobią jego oblicze, oraz normować będą jego stosunek do narodu i drugiego człowieka.

Podstawowe nakazy moralne są następujące: — Polak ma ambicję iść o własnych siłach, wstydzi się protekcji; — jest rycerski, szczery i skromny, nie zna zawiści i nie jest brutalny; — ma odwagę cywilną, twardy kark i poczucie godności; — mówi prawdę, brzydzi się pochlebstwem i uniżonością.

*

Nie ma zasług wobec własnego narodu, są tylko obowiązki; co szkodzi narodowi lub innym Polakom, jest na pewno złe; nie wolno mówić wobec obcych źle o Polsce i Polakach; decyduje zawsze interes narodu, nigdy osobisty lub grupowy.

*

Polak nie da się nigdy użyć przeciwko innym Polakom. Pomaga im po bratersku, natomiast jest bezwzględny dla wrogów i wszystkiego co złe; wobec obcych staje zawsze po stronie Polaka; stosuje tylko rzeczową krytykę, nie posługuje się nigdy napaścią; nie obraża się, gdy go inni krytykują.

W naszych warunkach jest konieczne danie następującego światopoglądu:

— Jesteśmy skazani na wielkość tzn. albo stworzymy wielką potęgę albo zostaniemy niczym. Ponieważ chcemy

Za chwilę — dalej przez pustynię

żyć, musimy tworzyć wielką potęgę. To wymaga olbrzymich czynów i potężnych wysiłków. Wielkich czynów dokonują dzielni ludzie. Ludzie w Polsce muszą być dzielni.

— Życie, to walka. Wszystko w życiu rodzi się, rośnie i ginie przez walkę. Walka robi jednych wolnymi, drugich niewolnikami, a innych bogami. W walce zwycięża ten, kto ma przymioty niezbędne do osiągania przewagi w walce. Musimy być zdolni do osięgania przewagi.

— W życiu znaczy tylko czyn, czyli to, co stwarza nowe wartości lub pomnaża już istniejące. Wszystko inne się nie liczy.

— Dla stworzenia czynów konieczne są: wiedza, charakter i idea.

— Prowadzimy życie skromne, jeśli nie surowe, gdyż zapewnia ono hart i tężyznę narodu.

— Każdy człowiek musi pracować. Każda praca jest dobra, bo każda jest potrzebna. Zmniejszyć się musi dystans między jednym człowiekiem, a drugim. Każdy człowiek jest dobry, lepszy jest ten, którego praca jest bardziej wydajna i którego użyteczność jest większa. Braterstwo między ludźmi musi się stać rzeczywistością.

KAZIMIERZ RYZIŃSKI

Koleżeństwo w PSK

Mija czwarty rok wojny. Czwarty rok wygnania, tułaczki i bezdomności. Coraz dalej w przeszłość odsuwa się od nas czas spokojny, czas szczęśliwy, gdyśmy wolne mieszkały w wolnej ojczyźnie, wśród rodzin naszych, wśród najbliższych, gdy żadna przemoc, żaden ucisk nie miały władzy nad nami, kiedy żadna wroga siła nie mogła nas dosięgnąć, aby dom nasz zburzyć, nas z niego wywłaszczyć i powlec w nieznaną i straszną obcość, na nędzę, poniewierkę, pracę nad siły.

Ale i to już w przeszłość zapada, mgłą oddalenia się powleka, skrywa się na dnie serca, na dnie pamięci. Teraz jest znowu czas inny. Czas spełnienia obowiązku.

Jesteśmy z różnych stron Polski, z różnych środowisk, różnych zawodów. Każda z nas przed wojną, układała sobie życie na swój sposób — jak lubiła, jak mogła, jak umiała. Miałyśmy każda z nas swoje odrębne przekonania, swój światopogląd, swoje upodobania i gusty. Przyjaźń, koleżeństwo, powstawały wówczas na tle wzajemnych sympatyj, podobieństwa warunków życiowych, na gruncie wspólnoty zawodowej. Ale dziś jest inaczej. Rozluźniły się dawne związki — rodzinne, klasowe, zawodowe, dawne kryteria straciły ważność, zostały odsunięte na drugi plan, na okres powrotu do normalnych stosunków.

Śpiewajmy chórem

Dziś jest wojna, kraj nasz w niewoli, nasze domy zburzone, nasi najbliżsi cierpią niesłychany ucisk i prześladowania w kraju, wegetują w więzieniach i obozach lub tułają się po świecie — a my jesteśmy w wojsku.

Nie wiem, czy wszystkie uświadamiamy sobie wagę i wymowę tych słów. Zawsze dotychczas na przestrzeni setek lat dziejów naszych, a szczególnie ostatniego okresu — od rozbiorów do wskrzeszenia niepodległej ojczyzny — kobieta Polka brała czynny udział w walce o niepodległość. Od żony powstańca, idącej za mężem na Syberię, do kurierki peowiackiej — zawsze i wszędzie odważna, wytrwała, niezłomna na duchu — przewija się przez historię tych walk, jako ostoja i natchnienie polskości.

Ale dziś dopiero kobiety polskie masowo stanęły ramię przy ramieniu z mężczyzną w jego walce zbrojnej. W ten sam mundur odziane, z orzełkiem na czapce — po raz pierwszy w dziejach naszych — są w wojsku polskim, jako zwarte oddziały kobiece, gotowe zawsze ulżyć i pomóc, wyręczyć mężczyznę, zdjąć z bark jego ciężar wszelkiej pracy, jaką mogą same w wojsku wykonać.

Kobieta nie może być celowniczym przy ckm'ie, nie może być strzelcem czołgowym, pilotem bombowca, ani jako saper rozbrajać pola minowe, czy budować mosty — ale kobieta może, chce i umie być szoferką, magazynierką, kantyniarką, świetliczarką, siostrą, wojskową pracownicą biurową, telefonistką — chce i umie wykonać wszelką pracę, potrzebną do tego, żeby żołnierz w pierwszej linii był odziany, zaopatrzony w sprzęt i amunicję, nakarmiony, opatrzony i obsłużony jak najlepiej. I dlatego kobieta w wojsku polskim, kobieta w PSK sama stała się żołnierzem, walczącym co prawda w drugiej linii, ale tak samo na froncie, tak samo niezłomnie i odważnie, jak mężczyzna.

Czynnikiem, który żołnierzy spaja najmocniej, który jest wytworem walki wspólnej, oraz walki tej ułatwieniem i jej osłodą niejako — jest KOLEŻEŃSTWO.

Wiadomo, że najmocniejsze związki przyjaźni i koleżeństwa wykuwają się w rowach i okopach strzeleckich. Znacie na pewno piosenkę żołnierską: „...kolega nakarmi, kolega się podzieli, kolega napoi, kolega rozweseli..." Kolega — to w wojsku wielkie słowo. I takie w szeregu zadzierzgnięte koleżeństwo trwa znacznie dłużej niż wojna, pozostaje i na okres pracy powojennej, trwa czasem przez całe życie. A że i my jesteśmy dzisiaj w wojsku, że i nam oddział nasz — kompania, czy pluton — zastępuje dziś i dom i rodzinę i przyjaciół — więc jeszcze może nie wyrozumiana, nie sprecyzowana dokładnie przez większość z nas — zaczyna już jednak ta prawda przenikać do naszej świadomości.

Już dzisiaj widać, jak PSK niweluje szereg różnic społecznych, które w zbiorowisku kobiecym są zazwyczaj znacznie mocniej zaakcentowane, niż w męskim, — jak wytwarza stopniowo koleżeństwo pracy i obowiązku, koleżeństwo żołnierskiej wytrwałości i dyscypliny. Już dziś kobiety w mundurze — ochotniczki, pracujące razem w tej samej dziedzinie, żona pułkownika i żona plutonowego, magister praw i sprzedawczyni ze sklepu — przyjaźnią się szczerze i serdecznie i nie tylko mówią sobie TY, ale są naprawdę koleżankami, uznającymi nawzajem swoją wartość w pracy i swoją kulturę w pożyciu. Te koleżanki — żołnierze, ta nowa kategoria walczących o wolność swego narodu Polek — Polek w mundurach, rozumie już dobrze, że łącząca je spójnia przetrwa wojnę, że będzie żywa i mocna i wówczas, kiedy powrócą do wolnej ojczyzny, by tam jednakowo sumiennie i ofiarnie pracować nad jej odbudową, nie wynosząc się nad siebie wzajemnie z racji takiej czy innej swojej przynależności społecznej. To koleżeństwo bez tytułów, nabytych przez zamążpójście, czy odziedziczonych przez urodzenie, to żołnierskie koleżeństwo bez efekciarstwa i blichtru, bez komeraży towarzyskich — koleżeństwo, wynikające tylko ze wspólnej pracy i poczucia wspólnego obowiązku, uczy nas tej niezbitej prawdy, że pomiędzy wartością, jednostki w powojennym społeczeństwie i pomiędzy jakością spełnianej przez nią pracy stoi niezachwiany znak równania.

Już dzisiaj widać, jak kiełkuje poczucie odpowiedzialności zbiorowej, ambicja zespołowa. Jak starają się kobiety o to, by oddział jak najlepiej prezentował się w szeregu, na defiladzie, czy zbiórce. Jak pouczają się wzajemnie, bez uszczypliwości i drwiny, ale życzliwie, przyjaźnie i jak ta, co gorzej maszeruje, czy gorsze robi zwroty, przyjmuje uwagę koleżanki rzeczowo i przychylnie. Nawet to, że każda z mieszkanek namiotu dba na równi z innymi o porządek i czystość w tym wspólnym, płóciennym domu, że podzieli się tym, co ma, że nakarmi chorą, pomoże słabszej — nawet to świadczy, że zawiązki koleżeństwa są, że jest dobry i podatny grunt, żeby się rozwinęły i rozrosły w mocne i trwałe uczucie swoistego kobiecego „braterstwa broni".

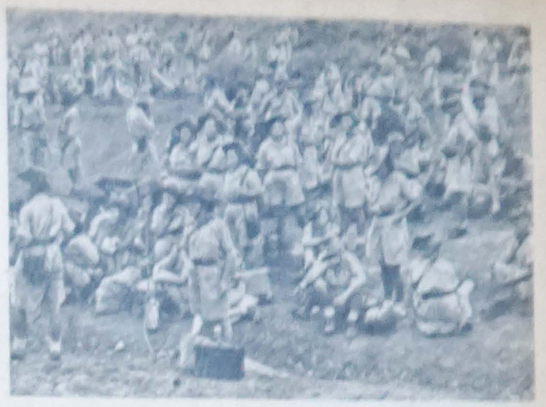

Na postoju

Nieraz zdarzyło mi się być świadkiem, jak ochotniczka zabiera głos w sprawie ważkiej, a wiecznie bolesnej — w sprawie tak zwanej naszej „opinii". Z oburzeniem, ale rzeczowo i trafnie, z wielkim poczuciem nie tylko godności kobiety i Polki, ale także i honoru munduru, który wszystkie nosimy — odpiera zdania krzywdzące i bezmyślne, często na niczym nie oparte. Broniąc w ten sposób nie siebie tylko, ale opinii całego zespołu, całej tej zorganizowanej gromady, do której należy, daje wyraz dobrze zrozumianemu poczuciu koleżeństwa.

To wszystko — to jest niewątpliwie już coś, ale to jeszcze niewiele.

Umiejętność trzeźwego patrzenia prawdzie w oczy, widzenia siebie takim, jakim się jest w rzeczywistości, nie jest niestety naszą cechą wspólną. Nie zawsze potrafimy rzeczowo i obiektywnie, bez zadrażnień osobistych i uraz wzajemnych wynajdywać braki i wady i szukać dróg dla zaradzenia im. Ale musimy się tego nauczyć. Więc zacznijmy my, kobiety, od siebie i powiedzmy sobie wprost, że nasze życie gromadne, nasze życie koleżeńskie nie jest zorganizowane należycie, że nie jest ujęte w żadne formy organizacyjne, że właściwie jako rzecz powszechna, żywa i codzienna, nie istnieje wcale. Poczynania w tej dziedzinie,

Odpoczynek

często bardzo dobrze pomyślane i celowe, rozbijały się, jak o ślepy mur o naszą bierność i niechęć do wszelkich imprez zbiorowych, pozostających poza obrębem naszych bezpośrednich obowiązków służbowych. Tak, jak gdybyśmy żałowały siebie i swego czasu na koleżeńskie obcowanie, na wspólne pogawędki i dyskusje, na ogniska i inne przejawy wewnętrznego życia gromady.

Wszystkie myślimy i czujemy, wszystkie na pewno chciałybyśmy czymś się ze swymi koleżankami podzielić, czegoś się nauczyć, coś wspólnie omówić, jedno zganić, drugie pochwalić — jednym słowem mieć jakiś organ wymiany myśli i przeżyć (a każda z nas tyle przecież przeżyła) — jakieś pismo. Teraz wreszcie będziemy miały swoje pismo centralne. Jest nas kilka tysięcy — ogromne zbiorowisko różnych temperamentów, różnych nastawień, światopoglądów i zdolności — nie bójmy się wypowiadać! Piszmy. Piszmy do swojej gazety o wszystkim, co nas gnębi lub cieszy, o wszystkim, czym pragnęłybyśmy podzielić się z rzeszą koleżanek.

Organizuje się życie świetlicowe. Nie omijajmy świetlic. Świetlica jest jak gdyby naszym klubem, jest po namiocie drugim naszym domem, gdzie możemy się czegoś nauczyć, rozerwać się, odpocząć, wreszcie po prostu pogwarzyć o tym, co nas zajmuje i żywo obchodzi.

Dotychczas pogadanki były w świetlicach „wygłaszane", najczęściej przez zaproszonych prelegentów. Nie wynikało to wcale z naszego wewnętrznego życia zbiorowego, ale było rzeczą zewnętrzną, niejako narzuconą z góry. Organizowane pogadanki koleżeńskie, po pewnym czasie zanikały same z siebie, konały z braku wewnętrznego impulsu. A przecież na pewno — i wiemy o tym wszystkie — wiele jest wśród nas mających bardzo dużo do powiedzenia, takich, co dobytkiem swojej wiedzy i zainteresowań mogłyby podzielić się z koleżankami.

Poziom ochotniczek jest zróżniczkowany. Począwszy od dziewcząt, wywiezionych z kraju w wieku szkolnym, lub tuż przed ukończeniem szkoły średniej, a skończywszy na kobietach z wyższym wykształceniem, o rozległej wiedzy i kulturze — wszystko to dziś nosi mundur khaki. Tę rzecz trzeba by wykorzystać, aby te mądrzejsze, te więcej wiedzące, lepiej rozumiejące wagę chwili obecnej i swój obowiązek obywatelski — podzieliły się tym swoim dobytkiem z koleżankami.

Pamiętajmy o tym, że wśród nas jest dużo młodzieży, która w zaraniu swego rozwoju umysłowego została na długi czas oderwana od normalnych warunków bytu i od wszelkich źródeł wiedzy i kultury narodowej. Wagę tego faktu, jego ogromny ciężar gatunkowy muszą sobie dokładnie uświadomić te starsze i mądrzejsze. Muszą one dokładnie zdać sobie sprawę z tego, że wynagrodzenie naszej młodzieży, tu razem z nami pracującej, tej ogromnej krzywdy jest jednym z najbardziej podstawowych obowiązków koleżeńskich.

Władze nasze robią w tej dziedzinie bardzo wiele. Są szkoły, są kursy maturalne. Skoro jednak tak się dziś warunki układają, że większości tej młodzieży nie można zwolnić dla kontynuowania studiów, gdyż uczyniłoby to ogromną wyrwę w naszych i tak zbyt szczupłych szeregach — trzeba pracę w tym kierunku nastawić i zorganizować w samym PSK na gruncie spełniania swego obowiązku koleżeńskiego przez te z nas, które w tej dziedzinie mogą coś z siebie dać.

Może trudno byłoby, aby każdy oddział PSK miał swoją bibliotekę, niewątpliwie jednak możliwości zdobywania książek, szczególnie na terenie obecnego mp., gdzie jest teraz zgromadzona większość ochotniczek — są i należałoby je wykorzystać tak, aby w każdym z oddziałów był przynajmniej mały zbiór najcelniejszych dzieł literatury naszej.

Trzeba byłoby, aby niektóre z tych dzieł, czy wyjątki z nich były wspólnie odczytywane i dyskutowane. Na takie wspólne czytanki można by przeznaczyć parę godzin w tygodniu. Uświadomienie obywatelskie, wyrobienie i ofiarność społeczna powinny być dziś postawione na najwyższym poziomie, a cóż jest lepszą szkołą myślenia obywatelskiego, bujniej tryskającym źródłem umiłowania polskości, niż dzieła Mickiewicza, Słowackiego, Wyspiańskiego, niż Żeromskiego wiecznie żywe i aktualne postacie. Tyle o książkach.

Cudowną formą wyżycia się i żywego obcowania koleżeńskiego jest urządzanie ognisk, przedstawień amatorskich. Te rzeczy były i są w PSK robione, ale sporadycznie, od wypadku do wypadku, nie we wszystkich oddziałach — a powinny być czymś ciągłym i powszechnym, wszędzie tam, gdzie żyją i pracują ochotniczki.

W większości wypadków pracę swoją spełniamy bardzo sumiennie. Ale to nie wszystko. Na ogół ochotniczka uważa, że jest wszystko w porządku, gdy rano wychodzi na zbiórkę, w oznaczonych godzinach wraca z pracy na teren kompanii, aby jeść, myć się i spać, jest w szeregu w czasie apelu wieczornego i nie spóźnia się z oddawaniem przepustek. Ale ogromna większość z nas oddziałowi swemu nie daje z siebie nic. Większość pamięta doskonale o tym, czym była za czasów onych „w cywilu" — uważa siebie za coś lepszego od „szarego tłumu". Zapomina o tym, że wartość człowieka teraz, a szczególnie wartość Polaka tu na uchodźctwie, zależy od jego zalet istotnych, od tego, co może z siebie dać swemu społeczeństwu. Przynależność do pewnej klasy społecznej jest tylko o tyle istotna, o ile wnosimy rzetelne wartości kultury, wiedzy i dobrych obyczajów do swego zespołu, o ile te wartości będą z nas emanowały przez ścisłe koleżeńskie obcowanie.

A większość z nas unika właśnie tego szeroko pojętego obcowania koleżeńskiego, stara się wyodrębnić, zamknąć w paroosobowej gromadce. Jeśli zresztą na terenie oddziału powstaje po pewnym czasie jakie takie zżycie się, to już wyraźny antagonizm można zaobserwować między ochotniczkami z różnych oddziałów, co występuje najjaskrawiej wówczas, gdy na skutek jakichś zmian organizacyjnych dwa oddziały zostają połączone w jedną całość. Koleżanki, które siedziały przy jednym biurku, mieszkały w jednym baraku — spotykają się po paru miesiącach i są sobie obce, a nawet niechętne dlatego, że jedna wyjechała z Rosji wcześniej, a druga później. Trzeba dopiero dłuższego czasu, aby te różnice zatarły się. A to jest przecież nonsens. Wszystkie jesteśmy dziś w tej samej sytuacji, wszystkie mamy za sobą lata ciężkich przejść, te same mamy cele, prawa i obowiązki i nic takiego antagonizmu nie usprawiedliwia.

W ogóle, tego rodzaju nastawienie, należałoby raz na zawsze w sobie przełamać. Trzeba sobie uświadomić, że po tej wojnie wiele rzeczy ulegnie przesunięciu i wartość człowieka, jego miejsce w społeczeństwie, zależeć będzie od wartości jego pracy i siły charakteru. Szczególnie jasno i wyraźnie musimy sobie to uświadomić my — kobiety, a zwłaszcza te, które do dziś dnia uważają, że tytułem i źródłem chwały i splendoru jest stanowisko męża, czy ojca.

W kraju czeka na nas niezmierzony ogrom pracy. W tym kraju, zrujnowanym i umęczonym, wycieńczonym głodem, znękanym prześladowaniami, kobiety, na których barkach spoczywa teraz często ciężar utrzymania rodziny — starych i dzieci — walczą przecież skrycie i uparcie, z zaciśniętymi zębami, nie załamując się. Do tego kraju my stąd, gdzie jesteśmy wolne, dobrze odżywiane, czysto i cało ubrane, gdzie nikt nas nie prześladuje — musimy przywieść nie tylko ręce zdolne do pracy, ale też ogromne wartości charakteru, żeby tamtym dorównać, żeby ich umęczonej, ale nieugiętej wielkości sprostać.

PSK nie tylko uratowało nas przed zagładą w Rosji, nie tylko daje nam możliwości owocnej pracy w wojsku i dla wojska, ale też może i powinno stać się doskonałą szkołą charakteru, wyrobienia i dyscypliny społecznej i obywatelskiej — powinno i może — jeżeli tylko same tego zechcemy, jeżeli swoją biernością i obojętnością nie będziemy temu przeciwdziałały.

Drogą do zdobycia tych wartości — to rozwijanie mądrze pojętego koleżeństwa. Koleżeńskie współżycie w zespole, w zorganizowanej gromadzie, polegające na wzajemnej wymianie wartości wiedzy i charakteru, na poczuciu odpowiedzialności zbiorowej i na wzajemnym oddziaływaniu wychowawczym, pomoże nam dorosnąć do wykonania tych zadań, jakie stoją przed nami teraz i po powrocie do kraju.

HALINA PUSZCZYŃSKA

Miłosierdzie

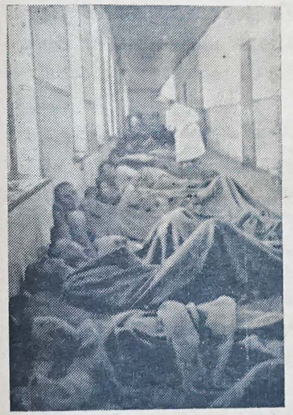

Tyfus w Kermine

W „Gazecie Polskiej" z dnia 17 sierpnia ukazał się artykuł pt. „Kobieta polska w mundurze" — gdzie autor dużo miejsca poświęcił ochotniczkom pracującym w sanitariacie na terenie Rosji.

Dobrze się stało, że tu, gdzie wielu z naszych rodaków teraz dopiero ma możność zetknięcia się z kobietami z PSK — na łamach codziennej gazety stwierdzono wielki, ofiarny wkład pracy ochotniczek nad ratowaniem życia żołnierzy, kobiet i dzieci polskich w obcej, dalekiej, złej ziemi. Dobrze się stało, że artykuł w gazecie przypomniał i nam te pierwsze karty naszej pracy, podając imiona zmarłych sióstr i sanitariuszek, których pamięć pozostała w sercu najbliższych koleżanek, ale których nazwiska znać powinien ogół naszych ochotniczek. Padły na posterunku: Kowalska Zofia, Janczewska Zofia, Zabłocka Irena, Szeper Anna, Wul Chana, Szczecińska Ewelina, Żelazik Zofia, Wachtel Eugenia, Wójcicka Wanda, Sumlak Eugenia, Chojecka Zofia, Szpakowicz Zofia, Metych Emilia, Rogalska Ryszarda, Krzywańska Danuta, Maj Lidia, Koralowa Anna i wiele innych, których nazwisk nie pamiętam. Np. z obsługi dezynfektora w Guzarze wszyscy wymarli.

Liczba strat nie jest kompletna, ogromny materiał statystyczny wymaga uporządkowania, a dane, którymi rozporządzamy, mają swój wielki tragiczny wyraz. Daje on obraz bohaterskiej walki wśród nieprawdopodobnie trudnych warunków: — brak lekarstw, narzędzi, strzykawek, igieł, zupełny brak bielizny i naczyń. Napływają więc alarmujące raporty i sprawozdania — na jednym z nich widziałam napis, zrobiony ręką szefa Służby Zdrowia APW.: „Zbrodnią jest pomieszczenie, gdzie leżą nasi chorzy, nazywać szpitalami, a blaszanki od konserw basenami i kubkami". Mrozy i zamiecie utrudniały pracę w dzień, uniemożliwiały nieomal w nocy. „Z kopciłką w zgrabiałej ręce, skostniała z zimna, brnęłam po pas w śniegu, by dostawszy się nareszcie do baraku, celem zrobienia zastrzyku — zastać w sterylizatorze zamarzniętą strzykawkę, a w butelce, zamiast lekarstwa, bryłkę lodu" — pisze w swym sprawozdaniu st. siostra szpitala w Tocku. A oto meldunek siostry przełożonej z Guzaru: „Siostry, po całodziennej pracy, nocami mają wykłady, bo element, jakkolwiek chętny, ale nie wyszkolony. Nasi lekarze, mimo, iż są bardzo przemęczeni, prowadzą te kursa. Najgorzej z odpoczynkiem, takie przepełnienie, że chorych sióstr nie można umieszczać na oddziałach — w barakach szpitalnych. Zaszedł niedawno wypadek, że zastano siostrę, śpiącą po nocnym dyżurze, w objęciach zmarłej obok niej koleżanki"...

Wspominamy ze zgrozą Rosję, ale czy po przejściu granicy, po wyładowaniu w Pahlevi nasza Służba Zdrowia

Pierwsza pomoc

znalazła się od razu w normalnych warunkach? Nie, po stokroć nie. Szpitale w Pahlevi i Teheranie powstawały wśród walki z epidemią przywiezionego tyfusu, malarii, szkarlatyny. Znów w nieprzygotowanych do tego pomieszczeniach, na podłodze, na kocach, pod namiotami, na gorącym słońcu składało się przybyłych nędzarzy-półtrupy. Siostra, wyznaczona na przełożoną szpitala w Teheranie, na dwie godziny przed przybyciem pierwszej partii chorych, otrzymała do dyspozycji dwie puste, zaśmiecone sale; pierwszą więc jej czynnością „na naczelnym stanowisku" było — wymycie podłogi. Z nadjeżdżających transportów zgłaszały się do pracy siostry, te, które już były na tym stanowisku w Rosji, lub te, które jeszcze nie pracowały w sanitariacie i prócz wielkiego serca i ofiarności nie miały przeważnie żadnych kwalifikacji. Kierownictwo objęło parę zawodowych, doświadczonych sił i pod rozkazami lekarzy dniem i nocą, bez przepisowych godzin, siostry i sanitariuszki pielęgnowały chorych, ucząc się jednocześnie, walcząc same z pozostałościami przebytej niewoli — z wycieńczeniem, cyngą, lub rozwijającą się w organiźmie zakaźną chorobą. Dla napływających coraz liczniej chorych brakło pomieszczeń, brakło obsługi. Szkolono więc na gwałt nowe zastępy i przeszkalano dawniejszy personel.

Rozpoczęła się organizacja szpitali wojskowych. Personel zbierano w dywizji, ewidencjonowano, rozdzielano, uwzględniając również potrzeby ludności cywilnej. Tradycyjnie ofiarne, troskliwe siostry, sanitariuszki i administracja PSK, przeszły na nowe mp. Przyłączyła się do nas grupka sióstr PCK, które poprzez Rumunię, Aleksandrię i Palestynę w ofiarnej walce o życie polskiego żołnierza, przybyła aż na pustynię, by stanąć do pracy.

Szpitale wojskowe były już doskonale wyposażone w sprzęt, lekarstwa, narzędzia, personel zakwaterowany, odżywiony i umundurowany dobrze; tak oczywiście, ale... praca w namiotach, mieszkanie w namiotach, ulewy i błota wiosną, hamsiny i upały latem, to były też bardzo a bardzo ciężkie do pokonania warunki na Irackiej Pustyni. Wszystko dałoby się jeszcze jakoś znieść, gdyby nie malaria. Idzie ona za nami krok w krok od czasów Rosji, powodując przepełnienie szpitali, przeciążanie personelu i ogromny procent zachorowań wśród pracowników sanitariatu.

Mogę stwierdzić, że poza małymi wyjątkami, które wszędzie być muszą, ochotniczki w służbie sanitarnej, czy te na stanowisku lekarek, laborantek, sióstr i sanitariuszek, kantyniarek, świetliczarek, personelu administracyjno-gospodarczego — wszystkie zdały egzamin w tych nad wyraz ciężkich warunkach — wykazując, że rozumieją konieczność wytrwania na trudnym posterunku.

W Iraku przy 80-ciu stopniach gorąca na zewnątrz, a 50 w namiotach nie można było zmierzyć gorączki; trzymane w lodzie termometry pękały, narzędzia rozgrzewały się tak, że trudno je było utrzymać w ręku. Na fotelu dentystycznym, każdy z przezornych pacjentów rozkładał gazetę, lub przyniesiony z sobą ręcznik; biada nieostrożnemu — zrywał się dosłownie jak oparzony. Przy pisaniu należało ciągle wycierać twarz i ręce, by nie zamazać cennych wykazów. Niejednokrotnie zemdloną siostrę czy sanitariuszkę wynoszono z sekcji, lecz po zastrzyku, w ciągu jednej do dwóch godzin wracała na salę do pracy, bo nie miał jej kto zastąpić. W jednym ze szpitali na 110 sióstr, 37 leżało jednocześnie w stanie chorych. Każdą z nich przywożono sanitarką i przyprowadzano lub przenoszono na łóżko, bo pracowały do ostatniej chwili, chcąc „przechodzić" atak malarii. Jedna z sióstr w mojej obecności stanęła do raportu do siostry przełożonej z oznakami bardzo wysokiej temperatury i stanowczo oświadczyła, że nie odejdzie w stan chorych, bo jak mówiła: Każdy człowiek ma prawo mieć gorączkę i nie musi zaraz iść do szpitala i że ona ma „negatyw ujemny" (w pośpiechu i zdenerwowaniu użyła tego wyrażenia — zamiast wynik analizy badania na malarie ujemny). Rozbroiła nas wszystkie tym „negatywem" i postawiła na swoim — poszła do pracy. Czy przemogła chorobę nie wiem, bo wyjechałam nazajutrz.

18-letnia łączniczka w czasie mego pobytu w szpitalu dawała swą krew pacjentom i był wielki lament, że po zabiegu musi trzy dni odpoczywać.

Był okres, kiedy na sekcję 700 chorych gotowało 8 kobiet, a nawet w ciągu kilku dni zaledwie 6. Mimo upału, czystość i porządek były wzorowe, godziny posiłków nie spóźnione. Na psychiatrycznym oddziale chory dostał ataku szału i rzucił się z nożem na otaczających. Sanitariusze uciekli, a sanitariuszka, chwyciwszy koc, zarzuciła go choremu na głowę i obezwładniła szaleńca.

W innym szpitalu, też na sali nerwowo chorych, dyżurująca w nocy siostra nagle została zaatakowana przez pacjenta, który, trzymając ją mocno za rękę i wywijając jej przed oczyma żyletką, szeptem zadecydował, że ją zarżnie. Siostra bardzo „ucieszyła się" z tego pomysłu i również szeptem odparła, że ma jeszcze lepszy sposób — oto skorzysta z nocy, zakradnie się do kuchni i przyniesie wielki nóż do ćwiartowania mięsa, wtedy będzie prawdziwa zabawa. Chory zgodził się skwapliwie, spokojnie położył się do łóżka, a siostra dalej przeprowadzała nocny obchód, tylko, jak nazajutrz mówiła, nogi miała jak z waty.

Przykładów można dać dużo, różnego rodzaju, z każdej dziedziny życia szpitalnego, które jest małym społeczeństwem o specyficznych zarysach. Poza szpitalami duży zastęp ochotniczek pracuje jeszcze w ambulatoriach, izbach przyjęć, przychodniach, lekarki, dentystki, personel pomocniczy, dzień w dzień od wczesnego ranka do późnej nocy udzielają porad i stosują zabiegi. Dość jedną godzinę czasu poświęcić, by przyglądając się temu nie kończącemu się nigdy szeregowi chorych w ambulatoriach stwierdzić, że i tu ochotniczki wzięły na swe barki ciężki obowiązek i spełniają go dobrze.

Wszyscy znają cudną baśń Marii Konopnickiej „O krasnoludkach i sierotce Marysi". Pamiętacie scenę, gdy zły, okrutny cygan goni dwa przerażone krasnoludki, które nie widząc znikąd ratunku, chcą zaklęciem wyzwolić moc, zamkniętą w słowach. Wołają więc z rozpaczą: Mądrość, Bogactwo, Miłość, Piękno... Aż wreszcie zwiotczałymi z przerażenia wargami Koszałek-Opałek szepce: „Miłosierdzie"... Szept ten podchwytują drzewa potężnym szumem, echem odbijają skały, że rośnie jak grom, a wraz z nim razem rosną małe krasnoludki, zamieniając się w olbrzymy.

Gdy byłam na zesłaniu, zrozumiałam słowa codziennie odmawianej modlitwy Pańskiej: „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj", a gdy spojrzeć teraz poza siebie na przeżyte lata ostatniej wojny, rozumiem myśl wielkiej poetki: „Miłosierdzie — to potęga".

Sanitariuszka przy pracy

JADWIGA ZYLIŃSKA

Moje świetlice

„Dlaczego panie uparły się siedzieć tyle czasu na tej pustyni — marnowałyście najniepotrzebniej zdrowie, a proszę popatrzeć tylko, jak tu przyjemnie można spędzić czas". —

Stoję na najbardziej ruchliwym skrzyżowaniu ulic i ogarniam spojrzeniem, strojny, pogodny tłum, lśniącą jezdnię, roześmiane przepychem sklepy, wspaniałe gmachy... i nic nie odpowiadam eleganckiemu panu w kapeluszu, który z niekłamanym zresztą współczuciem przygląda się mojej mizernej figurze ochotniczki, a raczej popularnie zwanej „pestki".

Elegancki panie w kapeluszu! Trudno mi było wytłumaczyć ci wtedy dlaczego ja i moje koleżanki świetliczarki-kantyniarki przełożyłyśmy tamten pustynny przydział ponad przyjemne spędzenie czasu tu, ale niech skromny artykuł starczy za odpowiedź, którą ci jestem dłużna. Wybacz, miły panie, że będzie on jednocześnie moim wspomnieniem, a może i pożegnaniem, — wierz mi, piękniejszego życia i piękniejszych ludzi, niż ci, których ukazałeś okrągłym gestem na najbardziej ruchliwej ulicy.

* * *

"O Panie, któryś jest na niebie,
Wyciągnij sprawiedliwą dłoń,
Wołamy z cudzych stron do Ciebie,
O polski dach, o polską broń!"...

Ci z „kołchozów" nie chcieli śpiewać tych wesołych piosenek, które moja mała przyjaciółka, Halinka, miała tyle spisanych podczas świeżo ukończonych kursów świetliczarskich. Skupiali się dokoła niej, milczącą, smutną gromadą i wyznawali swą skargę żołnierza-pielgrzyma z głębi przepełnionej bólem piersi cichym głosem ludzi chorych. Kładli dwa plecaki jeden na drugim i prosili mnie, abym usiadła i opowiadała. Najpierw o panu Generale Sikorskim i czy to prawda, że ich stąd zabierze i gdzie się bić będą i kiedy. A co z bronią i jak ja myślę, kiedy do Polski... A potem, jak to było naprawdę z 39-ym i co z tamtym rządem, a jak się stało z nowym, a jak było we Francji, a jak pod Narwikiem, jak to się stało, że Niemcy nie zbombardowali Anglii i co teraz tam nasze wojsko itd. itd. I tak się zaczęły moje pogadanki o Polsce współczesnej, o której, zamknięci po obozach, więzieniach, dalekich posiołkach, przez dwa lata, nic nie wiedzieli.

Z biegiem czasu zaprzyjaźniali się z nami i opowiadali swoje męczeńskie historie, pokazywali straszliwe rany i ślady odmrożeń i cyngi, wyszarpywali gdzieś zza pazuchy cudem przechowane, wyblakłe fotografie bliskich. Tych bliskich polecali nam żarliwie szukać zagubionych w Rosji, przekazywali słowa wyrwane z głębi osamotnionego serca i śledzili z bojaźnią posuwające się spokojnie pióra po „bumadze ruskiej". Delegatura, kołchoz, uczastok... Czy aby dojdzie? Czy ich odnajdą?... Dziwni to byli artylerzyści. W strzępach fufajek lub podartych uzbeckich kapotach, z reguły bez bielizny, w tak dziurawych spodniach, że chowali się jeden za drugiego, by nie obrażać naszej kobiecości.

Kiedy zaczęli przybywać od lutego 1942 roku, myśmy już tam były. Każdy wchodził jakoby do naszej świetliczar-

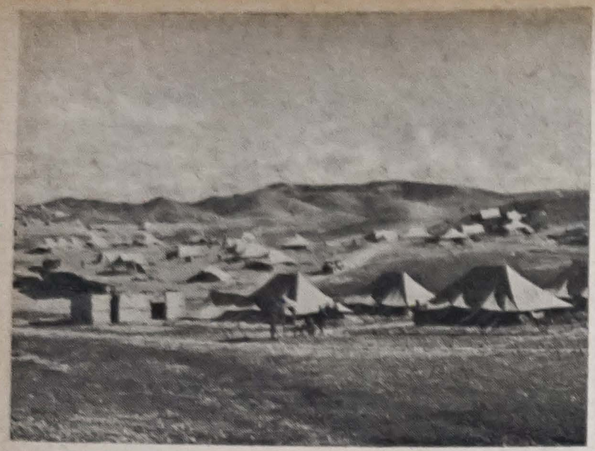

Fragment obozu

skiej rodziny i stawał się w niej od razu ważną osobą, jakby rodził się dla nas. Świetlica była tam, gdzie oni byli. Najpierw stłoczona posłaniami sala mp. Daerów i Palu, później stłoczone namioty, gdzie zbierali się na nasze przyjście grupami, a kiedy przestał padać deszcz, czy śnieg — szeroka świetlica pod gołym niebem „na balach" lub wprost na ziemi. Ale gdziekolwiek była nasza świetlica, wszędzie rozkwitał w niej dla nas czar wdzięcznego za nasze przyjście żarliwego zasłuchania, nienasyconej ciekawości spraw, które przynosiłyśmy. Nade wszystko zaś czar zacieśniającej się między nami przyjaźni, która zdejmowała na tamte chwile z naszej i ich piersi tragiczne poczucie samotności.

Gromada, która z nami rosła, wkrótce poczęła się zmniejszać. Kładli się na betonowych posadzkach szpitali. Tyfus przyniesiony z wszami, z ich nędzą, szalał. Żegnałyśmy ich na zawsze, przyjmując na klęczkach ostatnią ich wolę i odbierając ze stygnących ust ostatnie zlecenia, a z rąk pobladłych fotografie drogich, adresy w Rosji i w Polsce, aby powiadomić żywych, którzy zostali.

Odprowadzało się tę jedyną trumnę, na którą zdobyć się było można na tej ubogiej w drzewo ziemi, na pustynny

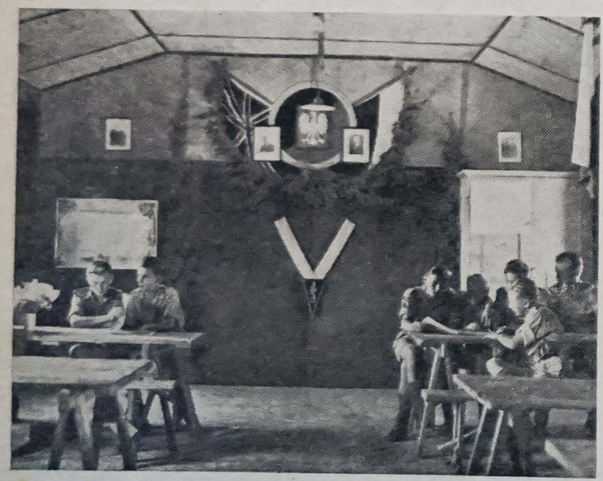

W świetlicy

cmentarz, gdzie wrzucano do dołu jednego trupa, aby wrócić po drugiego. Pamiętam twój uśmiech, najweselszy chłopcze z tej smutnej gromady, pamiętam twój entuzjazm dla wojska, Twoje nadzieje i plany ognisk, które snuliśmy razem. Chciałeś dla nas wnieść trochę więcej radości do świetlicy i nauczyłeś kolegów śpiewać pierwszą wesołą piosenkę: „Wesoła marynarska wiara". — 10 luty, święto morza. Tydzień tylko rozkwitał Twój uśmiech i zakopano cię, jak tylu innych, w piach uzbecki.

Wczesna wiosna uśmiechnęła się do nas nieśmiałą nadzieją, że przestanie wędrować trumna ze szpitala na cmentarz, na którym tyle już mogił narosło. Przyszły mundury, koce, bielizna, namioty. Coraz częściej rozbrzmiewał śmiech na naszej świetlicy pod gołym niebem, a ilość wszy, które przynosiłyśmy ze szpitala i namiotów zmniejszyła się znacznie. Wielkanoc — święcone — tylu wróciło ze szpitala, a ognisko świąteczne, choć mało w nim było „kawałów", ucieszyło naszego dowódcę, który dotąd ciągle domagał się na próżno pogody i humoru.

Nie miałyśmy jednak dalej żadnego sprzętu świetlicowego, oprócz dwu broszur i dwóch par warcab, które obeszły już wszystkie namioty. Sukces — ukazująca się co tydzień gazeta ścienna, zdobiona i redagowana przez żołnierzy pod naszym kierunkiem — już nam nie wystarczała. Potrzebne były różne rzeczy: papier, tusze, farby, instrumenty muzyczne, materiały na kostiumy na ogniska... Skąd zdobyć pieniądze? Wpadłyśmy wreszcie na pomysł stworzenia pracowni krawieckiej, dla naszych „bogaczy" oficerów, którzy wyfasowali koszule bez kołnierzyków, a dystynkcje wycinali sobie z blachy, wyrzucając nam wiecznie: — dwie kobiety w pułku!...

Przerabiałam te koszule, szyjąc w ręku, a Halinka haftowała gwiazdki po rublu za sztukę — za koszule brałyśmy 5 rubli. Wkrótce rozporządzałyśmy pokaźnym funduszem, tym bardziej, że zaczął pracować z nami prawdziwy krawiec i wynajęłyśmy od naszej gospodyni maszynę za trzy ruble dziennie. Wystarczyło potrochu na wszystko, a nawet na „kabyk" z cebulą dla tych najsłabszych. I jeśli ten „kabyk" dał choć jedną kroplę krwi kilku naszym chłopcom, cierpiącym na awitaminozę, którzy zdrowi jeżdżą teraz na poligon, doprawdy, jakże sowicie zapłacone zostały moje krzywe ściegi i artystyczne gwiazdki Halinki.

Konserwy angielskie i nasze wesołe już ogniska, kursy analfabetów, wykłady dla wstępujących do podchorążówki — ale świetlicą był dół na pustyni pod żarem słonecznym, a później, po długiej walce z władzami sowieckimi — gaj zielony, gdzie czytałyśmy cudem zdobyte pierwsze polskie książki: Trylogia, Krzyżacy, Wiersze Mickiewicza i komunikaty z rozpinaną na drzewie mapą, wyłudzoną podstępnie w sowieckiej szkole. Przez dwa tygodnie cieszyłyśmy się nawet zdobieniem wreszcie uzyskanego namiotu świetlicowego, który jednak trzeba było oddać dla nowo-przybyłych żołnierzy i pięknie wymalowany napis „Świetlica" znów powędrował do przenośnego pudła.

Wiosna uzbecka okazała się, jak wszystko w tym kraju — kłamliwa. Za to wybuchła epidemia czerwonki, a trumna znowu rozpoczęła swą dawną wędrówkę. Ale pułk żył nadzieją wyjazdu za granicę tego kraju. Zdrowych zo-

stawiliśmy tej nadziei, aby stać się świetliczarkami w szpitalach.

Jak nieskończenie martwiliście się, czy was zabiorą, jak trzeba wam było sto razy powtarzać, że pojedziecie, jak witaliście nas z radością i żegnali z żalem, przyjmując wdzięcznie garść machorki, czy trochę winogron. Nasi najbiedniejsi, kochani chłopcy, wy wiecie i ja wiem, co znaczy umierać samotnie na obcej, znienawidzonej ziemi, gdy nadzieja powrotu była tak realna. I Bóg wie, czy potrzebna byłam między wami, gdyście tak prosto i bez patosu mnie żegnali: „Proszę pani świetliczarki, proszę się ze mną pożegnać, bo jutro już mnie pani nie zastanie". Nie zastanie!... O Boże! mówiliście to tak, jak się mówi komuś, kto chce nas odwiedzić nie w porę: — „Jutro mnie pani w domu nie zastanie". A wiedzieliście przecież, że nie zastanie was nikt nigdy na świecie i drogę do Polski grób wam przetnie na zawsze.

Jechaliśmy wreszcie... Ci uratowani i my, jechaliśmy wreszcie poza granicę tamtego złego kraju. Raz jeszcze przeżyliśmy rozczarowanie. Nie w wymarzonym gaju pomarańczowym, nad brzegiem cudnej rzeki, ale na gołej jałowej pustyni rozbijaliśmy znowu swoje namioty, po cudnej ułudzie morskiego brzegu, który pozostał daleko. Ale wkrótce miałyśmy świetlice, kantyny, sklepy żołnierskie i kawiarenki. Ogarnął nas szał dekoracji. Same doglądałyśmy kopania i betonowania dołów pod namioty. Świetlica musi być przecież podniebna — naciągałyśmy sznury i bieliłyśmy brudne płótna wnętrz i dekorowałyśmy najpierw okna. Okna od razu stawały się symbolem domu — okna, przysłonięte firanką, własnoręcznie uszytą. Ileż pomysłowości wykazały świetliczarki, rywalizując ze sobą: „moja w stylu zakopiańskim" — „moja kurpiowska" — „moja nowoczesna" — zwierzały się sobie wieczorem, szorując pobrudzone farbą palce.

Kantyniarki-świetliczarki zawierały tajne przymierza z żołnierzami, aby z cudem zdobytych desek i blachy z puszek od benzyny kombinować lady sklepowe. Ławki i stoły do świetlicy, to był problem bardzo trudny. Żołnierze dzielili naszą troskę i pomagali, jak mogli: znosili skrzynki i pudła z blachy i drzewa, wypełniali je piaskiem i ustawiali długim rzędem pod ścianami — to były siedzenia. Gorzej było ze stołami, bo na nie trzeba było długich desek — skąd wziąć długie deski na pustyni? Skąd wziąć sprzęt świetlicowy, gry, pisma, książki, patefon, radio? Szachy i warcaby w znikomej ilości ofiarowane przez Referat Kult. Ośw. — to było stanowczo za mało.

A żołnierze już wypełnili gwarem puste ściany i stali ciemnym tłumem w środku, wygoleni, w wyprasowanych spodniach, jacyś świąteczni i łagodniejsi, niż gdzie indziej — przyszli do swego pierwszego domu od lat, długich lat tułaczki. I co tu dużo pisać — chcieli mieć radio, patefon, dużo, dużo kompletów szachów (szachy były najmilsze), dużo pism i chociaż kilka książek polskich, (bywalcy wiedzieli już, że coś tam można kupić w Palestynie). I chcieli siedzieć przy stołach nakrytych serwetami: „bo proszę pani świetliczarki, co to za świetlica, choćby ta nasza, my się cały dzień gnieciem jak śledzie po namiotach, na ziemi śpiemy i jemy — to już pani w tym głowa, żeby to było

Szopka w świetlicy

wszystko jak należy — my *filsiaki* damy, to niech pani świetliczarka chłopaków se wydeleguje jeszcze do tego Bagdadu albo i Palestyny i kupcie, co tam trzeba, bo my chcemy mieć nasz dom żołnierski jak się patrzy". Powiedział to wreszcie w imieniu wszystkich pan kapral i poszli do namiotów...

Wiedziałyśmy, że to prawda. Wiedziałyśmy, że to bardzo ważne. Wiedziałyśmy, czym była nasza skromna świetlica namiotowa w pustyni, gdzie jesteś sam twarzą w twarz ze swoją troską, którą nosisz w sercu, gdzie nie ma ulic asfaltowych tętniących życiem, a gdzie okiem nie sięgniesz, wszędzie ten sam piach, pod tropikalnym niebem, zbuntowany tylko czasem przeciw pustce trąbą hamsinu. Nasze świetlice nie mogły być puste — bo poza ich ścianami w namiocie żołnierskim tłoczył się żołnierz, którego żarła już choroba pustyni, któremu świetlica miała zastąpić dom, kino, teatr, kawiarnię w wolnej od zajęć chwili.

Zaczęły się imprezy dochodowe. Festyny, zabawy, loterie fantowe. Odkarmiony, wypoczęty żołnierz bawił się jak dziecko i chętnie dawał swoje *„filsiaki"* wiedząc, że coraz więcej gier, płyt, a może i radio zobaczy w swojej świetlicy. Wkrótce świetlica tętniła już swoim życiem. Świetliczarki-kantyniarki miały duże ambicje. Każda chciała, by jej świetlica była na najwyższym poziomie. W dzień organizowały kursy pisania i czytania z wykładami historii Polski i geografii, ćwiczyły zespoły czołówek artystycznych, wydawały gazetki ścienne, wieczorem — coś w rodzaju kawiarni literackiej — ciekawe pogadanki na różne aktualne tematy, wieczory muzyczne, występy czołówki, wieczory świetlicowe. Świetliczarka-kantyniarka stała przy bufecie, sprzedając kanapki, kawę, wodę, ciastka, lody (ach te lody! — ciągle ich było mało), a kiedy zbliżała się godzina ósma, przemieniała się w conferencierkę, artystkę, prelegentkę. Od czasu do czasu wielkie święto — ognisko żołnierskie pod gołym niebem.

Kantyniarki-świetliczarki były zajęte zdobywaniem towaru. Jeździły wyproszonym podstępnie autem do miasta i kupowały, porozumiewając się, Bóg wie jakim językiem, z Arabami.

Wyjazdy te nie były zawsze w zgodzie z porządkiem, którego strzegła nasza żandarmeria — przepustki kosztowały tyle trudu — wybaczcie im i nie pamiętajcie. Ciastka arabskie stanowczo nie nadawały się do jedzenia — pomysłowe kantyniarki-świetliczarki piekły je same, w przerwie obiadowej. A temperatura rosła i bezlitosne słońce afrykańskie podnosiło słupek rtęci do 70° C. i wyżej.

Cóż to była za radość, kiedyśmy się dowiedziały, że YMCA, ta poczciwa stara ciocia Ymcia, której sława z wojny 1914 roku i pamięć bezinteresownej działalności dla żołnierza przetrwała w legendach po dzień dzisiejszy — będzie pracować w naszej dywizji. Odpadnie nam troska o zdobycie towaru, wiedziałyśmy bowiem, że ciocia ma zapasiki niezgorsze.

Ciocia zaczynała od tego, że przysyłała dziadka ciotecznego, który zaczynał pertraktację z dowódcą, obiecując w zamian za dochody osiągnięte ze sprzedaży produktów w bufecie, gry, radio, pisma, stoły do świetlic. My naturalnie miałyśmy dalej same, lub przy małej obsadzie świetlic, z pomocą wyznaczonych przez dowódcę żołnierzy pracować w tych bufetach. Sklepów żołnierskich ciocia zaopatrywać nie chciała. Wymaganym było także prowadzenie skomplikowanej i dokładnej księgowości: — księga kasowa, księga towarów, kalkulacja z drobiazgowym wykazem dochodów na każdym z produktów, co zabierało dużo czasu. Ale chętnie nauczyłyśmy się tej nowej księgowości i przyjmowałyśmy od dziadka radośnie sprzęt. Baki do gotowania kawy i herbaty — dotąd męczyłyśmy się, wypraszając w kuchni żołnierskiej kotły — filiżanki — dotąd podawałyśmy kawę w blaszanych kubkach z pudełek od konserw — spodeczki, tace, małe gospodarstwo, jakże miłe dla kobiety. I towar. Chlebki, niestety arabskie, ale jaja, pikle, czasem nawet kiełbasa, orzechy, konserwy, sok do wody, papierosy, kawa, kompoty — kłopoty, bo 5 do 10 puszek, więc kogo uczcić sprzedażą — dzieliłyśmy na skąpe porcyjki. Ciastka trzeba było dalej wypiekać, bo ciocine nie przewyższały arabskich.

Zaczęły się jednak wkrótce kwasy między nami, a kochaną ciocią Ymcią i zdecywana wojna, kiedy dziadzio zaczął z dumą mówić: „moje świetlice" i wywieszać barwne szyldziki z napisem: „Gospoda i świetlica YMCA" przed, jak mniemałyśmy dotąd *naszą* świetlicą, *naszej* kompanii tej czy tej, stworzonej przez *nas* i przez *żołnierzy*, za pieniądze przez nich ofiarowane lub zdobyte *naszą* pracą. W świetlicy grało nasze radio i nasz patefon, leżały nasze pisma i nasze gry, przemawiali prelegenci przez nas zaproszeni lub my i żołnierze, wieczory świetlicowe urządzałyśmy my wspólnie z żołnierzami. A artykuły, które zaczęły pojawiać się w Kurierze Polskim i Orle Białym na temat świetlic YMCI to były artykuły o naszych świetlicach. Niewiele to jednak znaczyło, wobec samej pracy i radości z niej.

Miesiąc przeszło upłynął od chwili, gdy pożegnałyśmy naszą świetlicę. Oddychamy znowu zdrowym powietrzem zdrowego kraju. Odpoczywamy, rozkoszując się zdobyczami kulturalnymi pięknych miast. Zwiedzamy miejsca święte, których dotykała stopa Zbawiciela. Ale nocą, cudną nocą w snach tajemnych wracamy tam — na naszą pustynię. Bo nic nam to wszystko, jeśli nie możemy z wami podzielić naszej wygody, radości, wytchnienia. I wiemy, że zawarłyśmy tam z wami braterstwo. Może zatrze się w naszej pamięci twarz niejednego z was, splącze się nazwisko, ale kiedyś gdy spotkamy się i wspomnimy tamten czas — odnajdziemy się na nowo. W tym właśnie tkwi dla nas czar tamtej pustyni.

MARIA DOBKOWA

Krakowiak

Spotkanie

Oczyma duszy Twoje widziałem nożyny,
Brnące w błocie i śniegu, w deszcz i wielkie mrozy,
Z aresztu do więzienia, z turmy do obozu,
Mdlejące od wysiłku co dnia, co godzinę.

Widziałem oczu Twoich zapadłe głębiny,
Pełne żalu, uniesień, cierpienia i grozy.
Widziałem najnędzniejszą życia Twego prozę:
Praca nad siły, chleba maleńko, snu krzyna.

Na maleńkiej stacyjce Północy dalekiej
Znalazłaś mnie, wiedziona znaną poprzez wieki
Mocą życia, co nosi wielorakie imię.

Jako Hiob, stanęłaś przede mną. Powieki
Zadrgały. Pereł słonych sznur rozlał się miękki...
Straszliwa zmora sczezła w niebieskawym dymie.

FELIKS LACHMAN

Jak cię widzą, tak cię piszą

Zakuj się w żelazną zbroję woli — o młoda duszo! Ustami tak miłosiernymi i tak nieubłaganymi, jak usta Sakya-Muni, zaprzysięgnij sobie poznanie Siebie — które jest głównym sposobem do niezbędnego czynu: do przezwyciężenia bezwładu Duszy Polskiej!

(*St. Żeromski „Manifest do Młodych"*)

Człowiek jest istotą wieloplanową. Myśl zrodzona w najgłębszych, najbardziej tajnych zakamarkach duszy natychmiast uzewnętrznia się w spojrzeniu, mimice twarzy, odruchu rąk, słowie — by wreszcie znaleźć swój pełny wyraz w czynie. Między naszym „ja" wewnętrznym, choćby najbardziej zakonspirowanym, a naszą postawą zewnętrzną — dostępną dla ogółu, istnieje ścisła współzależność, mniej lub więcej sharmonizowana. Zależność ta jest obopólna. Świadomość tego, umiejętność orientowania się w podstawowych elementach skomplikowanego procesu psycho-fizjologicznego, którego teatrem jest przez całe swe życie istota ludzka — jest nieodzowną dla każdego człowieka inteligentnego. Na tym opiera się postępowanie celowe i planowe.

Postawę człowieka szczególnie takiego, który z natury rzeczy ma coś ludziom do powiedzenia, czy to jako kierownik grupy, d-ca, nauczyciel, instruktor, świetliczarka itp. musi cechować przede wszystkim umiar. Wiąże się to z opanowaniem nerwowych odruchów i pohamowaniem wewnętrznie zbytecznych dla otoczenia reakcyj psychicznych, uprzejmością i życzliwością w stosunku do otoczenia w granicach zakreślonych tzw. „taktem", wyrozumiałością dla błędów otoczenia (o ile one nie wynikają ze złej woli), z bezwzględną surowością i bezustanną samokontrolą i krytyką w stosunku do siebie samego.

Niezależnie od poznania otoczenia przy pomocy „pięciu zmysłów", każdy człowiek posiada tzw. intuicję, za pomocą której wyczuwa myśli, nastroje czy zbliżające się wypadki. Intuicja pomaga nam „wyczuwać" ludzi i ich stany bez konkretnych faktów i wypowiedzeń z ich strony. Szczególnie jest ona wrażliwa na fałsz, jakim przede wszystkim jest brak harmonii między stanem wewnętrznym człowieka, a jego słowami i czynami. Ona to każe mieć zaufanie, lub nie, do nowopoznanych ludzi.

Ochotniczka — jako człowiek — podlega tym samym ogólnym prawom psychologii, jakie w paru zdaniach rzuciłam. Ochotniczka jest ponadto żołnierzem — ale właśnie, dzięki specjalnym cechom wynikającym z płci i roli jej w wojsku, zagadnienie jej postawy, jest dla nas ochotniczek sprawą ważną i wymaga dodatkowych rozważań.

Jaką bowiem powinna być postawa ogólna, człowieka wobec życia i ludzi — wiemy. Spisano na ten temat tomy traktatów naukowych; psychologia, etyka, znaczna część estetyki niczym innym się nie zajmuje. O tym, jakim ma być żołnierz i jego stosunek do sprawy, społeczeństwa itp., dużo się pisało i pisze ciągle. Natomiast fenomen w historii wojen — kobieta-żołnierz — poza sielankowymi reportażami, lub ostrą i niezasłużoną krytyką nieświadomych (odpuszczamy te winy... „bowiem nie wiedzą, co czynią..."), nie doczekała się pracy ujętej rzeczowo i wnikliwie.

Nie roszczę sobie pretensji do wyczerpania nawet częściowo niniejszego tematu. Na to artykuł nie jest odpowiednią formą. Pragnę rzucić tylko kilka, według mnie zdrowych, praktycznych i na czasie, myśli, odnoszących się do poruszanego zagadnienia. Czynię to w nadziei, że ogółowi ochotniczek da on trochę materiału do rozważań i koleżeńskich dyskusji, a może koleżankom, mającym po temu kwalifikacje i zainteresowanie, do specjalnego i obszerniejszego potraktowania kwestii.

Więc przechodzę ad rem. Ochotniczka jest tworem specjalnym w wojsku w jednakowym stopniu uprzywilejowanym jak i upośledzonym. Uprzywilejowanie to daje jej tradycyjna rycerskość wojska wobec „płci pięknej", specjalne ustosunkowanie się, jakie ma Polak-żołnierz wobec kobiety Polki na obczyźnie, wreszcie procentowa mniejszość, jaką jesteśmy. Właśnie w tej „mniejszości" kryje się niebezpieczeństwo. Czyż niejedna mądra i stateczna główka nie dozna zawrotu, jeśli bez względu na wiek, wykształcenie, urodę, jest „rozrywaną"?

Ale los bywa złośliwy. Każdy obdarzony przywilejem musi zwiększyć swoje obowiązki, jeśli chce godnie korzystać z jego nadania. Świadomość, że jesteśmy jedną z części wielkiej maszyny-wojska, wymaga od nas stałego i rzetelnego wysiłku na każdym odcinku, na jakim służba nas postawi. Czy wolno nam, bodaj chwilowym osłabieniem, brakiem obowiązkowości, zatrzymać precyzyjne funkcjonowanie maszyny? — Nie! I o tym stale należy pamiętać... „Czy jestem taka ważna, że jak tam nie pójdę to wojnę przegramy..." albo ...„jutro dam maszynopis, to nic terminowego, zresztą jak coś ważnego, to zastąpią mnie..." Pewnie, że zastąpią, może i lepiej to zrobią — ale zastępując tracą czas, który mogliby, być może, pożyteczniej zużytkować.

Nam ufają, powierzają niejednokrotnie bardzo odpowiedzialne funkcje, przełożeni są zadowoleni z naszej pracy, z naszej ideowej postawy. Czuwajmy, aby ta opinia dotyczyła wszystkich ochotniczek.

Może to paradoks, ale upośledzoną jest ochotniczka z tych samych przyczyn, które ją uprzywilejowały i postawiły na „świeczniku". „Świecznik" ten bowiem stworzył doskonałe warunki do gry w „cenzurowanego", bez zachowania jednak umiaru towarzyskiego i pozorów nawet lojalności. „Emablowane", „rozrywane", chwalone przez jednych, nie podejrzewamy, jak krytycznie jesteśmy obserwowane przez innych, jak surowo i bezwzględnie, często niesłusznie i niesprawiedliwie, komentowany jest każdy nasz krok, słowo, zachowanie. Nawet w normalnych warunkach trudną rzeczą jest oddzielenie spraw służbowych od życia towarzyskiego i stosunków koleżeńskich. W życiu obozowym, koczowniczym, gdzie ludzie żyją gromadą i gdzie koniec „urzędowania" nie oznacza rozstania się z towarzyszami pracy i rozpoczęcia życia osobistego w gronie najbliższych, jest to problem jeszcze trudniejszy.

Połączenie obowiązków z konieczną i zrozumiałą rozrywką, stałe przebywanie w grupie entuzjastów i wrogów

EX LIBRIS
N. IT. DĄBROWSKICH

PSK, życzliwych i wierzących w celowość istnienia naszej służby i pesymistów (kraczących nie gorzej od najczarniejszych kruków), urzędowanie wspólne narzeczonych i ich bardzo miłe, ale nie na miejscu spojrzenia na oczach interesantów, przydziały uzyskiwane życzliwą, ale jakże szkodliwą interwencją wpływowych znajomych, lekkomyślne, niejednokrotnie nieco za głośne zachowanie się ochotniczek w lokalach czy na ulicy — oto z grubsza powody i atmosfera, w której powstają komentarze i krytyka.

Zdajemy sobie sprawę z tego stanu i jako najskuteczniejszej broni użyjmy taktu, godności kobiety-żołnierza i samokontroli własnej postawy. Wiemy aż nadto dobrzę, że ogół zawsze będzie generalizować fakty i na podstawie zachowania jednostki urabiać opinię całości PSK. Dlatego też nie bądźmy zbyt łagodne i pobłażliwe dla spraw, które w Polsce zasługiwałyby na banicję towarzyską.

Trudne jest zadanie kobiety w wojsku, która bez utraty kobiecości i cech swojej płci właściwych, musi sprostać w pracy mężczyźnie i przyswoić sobie atmosferę tej pracy.

Ma być ona wzorem tak kobiety, jak i żołnierza. Wymaga tego od nas zagadnienie pomocniczej służby kobiet w ogóle i nasze szczególnie skomplikowane położenie tutaj — wojska polskiego na obcej ziemi i wreszcie opinia Kraju, przed którą każdy i każda z nas będzie składać sprawozdanie. Ci w kraju mają prawo nas potępić, lub udzielić swojego absolutorium.

Dlatego też, drogie koleżanki, postawa ochotniczki wobec PSK i ogółu jest sprawą zasadniczą. Zrozumieniem, gorącą wolą, wszystko można osiągnąć. Nie mam zamiaru dawać recepty o koniecznych walorach, że ochotniczka winna być ideowa, dobra, schludna, zdyscyplinowana, pracowita, koleżeńska itd. To wszystko, każda z nas, — z jednego, ale zasadniczego powodu, że jest Polką — wie. Sedno tkwi w czym innym — w świadomości, że nasza właściwa bez zarzutu postawa zewnętrzna musi harmonizować z naszą postawą wewnętrzną. Bo, czy do pomyślenia jest, aby naprawdę karna wewnętrznie ochotniczka nie oddawała honorów starszym stopniem, tak mężczyznom jak kobietom? Nie o ukłon tu przecież chodzi!

Czy istotnie ideowa, mająca nawet poparcie, będzie bronić się przed przydziałem, który jest trudny i wymaga od niej wielu wyrzeczeń?

Czy o ubranej „na ostatni guzik" salutującej bez zarzutu, defilującej jak podchorąży na przeglądzie, ale nie uznającej przepisów obowiązujących w kompanii czy garnizonie, możemy powiedzieć, że jest zdyscyplinowana? Takich „czy" można by przytoczyć wiele. Jeśli jednak drogą korekty i zastanowienia się zrobimy porządek z naszym wnętrzem, postawa zewnętrzna sama przybierze odpowiednią formę.

Musimy wszystkie zrozumieć, że rola ochotniczki w wojsku polskim na obczyźnie nakłada na nią większą odpowiedzialność niż na żołnierza. Ochotniczka jest odpowiedzialna za stan psychiczny żołnierza, za jego wolę wytrwania i walki. (Do tego tematu jeszcze powrócimy w osobnym omówieniu). Zupełnie znośne warunki materialne, w jakich się znajdujemy, nakładają na nas (wobec nędzy życia naszych kobiet w kraju i w ZSRR) szczególny obowiązek. Musimy być lepsze, mądrzejsze, bardziej wartościowe. To chyba jasne; zastaniemy rozbite i zdezorganizowane życie w każdej dziedzinie. Trzeba będzie odbudować wszystko od podstaw. Musimy wnieść nasz hart, nasze umiłowanie trudu, aby zluzować te, które dziś w kraju cicho, a jakże skutecznie bronią wszystkiego co polskie, bez zastrzeżeń, bez granic ofiary. Nie oburzajmy się na słowa krytyki bez względu na to, czy słuszne są czy nie, ale kontrolujmy bezustannie siebie, usuwając wszystko, co będzie argumentem przeciwko nam.

Nie odurzajmy się hołdami i pochwałami, bo są one przedwczesne. Ostateczny egzamin zdamy w kraju — a zdamy go dobrze, bo tego pragniemy.

HALINA JAKUBOWSKA

Podziemna prasa kobiet w Kraju

W naszej prasie uchodźczej czytywaliśmy w różnych odstępach czasu mniej lub więcej szczegółowe omówienia polskiej prasy podziemnej w kraju. Dowiadywaliśmy się z nich o tragicznych warunkach pracy prasowej w Polsce okupowanej i jej niebezpiecznym kolportażu. Z reprodukowanych odbitek fotograficznych zapoznaliśmy się nieco z nazwami nowych czasopism wydawanych w kraju i mieliśmy możność ujrzenia strony technicznej tych wydawnictw. Wzruszały nas do głębi naszych serc te, niekiedy drobne świstki papieru, zadrukowane czarnym maczkiem liter, które złożone razem przemawiały do nas głęboką treścią słów.

Stosunkowo mniej uwagi poświęcono dotychczas omówieniu tajnej prasy kobiet w Polsce. Tymczasem kobiety polskie w kraju i w tej dziedzinie aktywności publicznej nie pozostały biernymi widzami. W warunkach, nazbyt dobrze znanych, zdołały stworzyć i co ważniejsze, kontynuować po dzień dzisiejszy, własną prasę informacyjną, publicystyczną oraz skromne pisemka dla dzieci.

Trudno ustalić obecnie konkretne dane cyfrowe i ogólne na temat owych pism i periodyków kobiecych w kraju. Wnioskując ogólnie z sytuacji, w jakiej znalazł się kraj pod okupacją i w związku z tym ogromnym ryzykiem i niebezpieczeństwem prasowej pracy konspiracyjnej, jest owych wydawnictw kobiecych chyba niewiele.

Forma zewnętrzna i poziom tych czasopism, rzecz zrozumiała, odbiegają nieco od świetnych tradycji polskiej kobiecej prasy przedwojennej. Z tym może jednym nadmienieniem, że dzisiejsze pisma kobiece w kraju, wzbogacone zostały o nową, żywą, najprawdziwiej pulsującą treść, której brakło może niekiedy tamtym w ich niefrapującej poprawności.

O czym więc piszą, jak myślą i co czują kobiety w Polsce? Ażeby się o tym dowiedzieć, pozwólmy im mówić samym za siebie. Leży przed nami periodyk pod nazwą: „Żywia — pismo kobiet". Na stronie tytułowej motto, dwuwiersz z Roty: „Twierdzą nam będzie każdy próg — tak nam dopomóż Bóg".

Na wstępie artykuł anonimowej autorki: „Listopad miesiąc walki i zwycięstwa". Autorka zwraca w nim uwagę na charakterystyczny zbieg historycznego przypadku, który sprawiał, że miesiąc listopad w całym przebiegu historii Polski zawsze zaznaczał się ważniejszymi zdarzeniami w życiu narodu polskiego. I przypomina: 1 listopad pamiętna obrona Lwowa, udział w niej kobiet i dzieci — 29 listopada, powstanie listopadowe — 11 listopada rozbrojenie Niemców — a w listopadzie 1939 ostatnie zrywy Polski Walczącej.

„Nowy idzie listopad" — pisze autorka — "nowy dla niego dzień i rok. Idąc ku niemu, skrwawiliśmy polskie drogi wzdłuż i wszerz. Skrwawiliśmy krwią własną. To jednak jeszcze nie koniec. Czeka nas krwawa kąpiel w krwi niemieckiego zbira. Czeka nas krwawa robota w tępieniu każdej germańskiej gadziny, która ośmieliła się wstąpić kiedykolwiek na ziemię polską". A zaraz potem: „Wróg nie próżnuje, stawia szubienice, strzela, morduje, urządza łapanki, masowo wywozi naszą młodzież do wschodnich i zachodnich rzeźni, pali wsie puste, z których chłopi uciekli w lasy, pali wsie z ludźmi, jeśli z nich uciec nie zdołali".

Ale nadchodzą już dni wielkich rozstrzygnięć i wydarzeń. Nie wolno kobietom polskim pozostać tylko widzami owych radosnych, już coraz bliższych zmian. „Nie wiadomo, czy już jutro słów bojowych naszej pieśni nie trzeba nam będzie zastosować w życiu. Twierdzą nam będzie każdy próg — do tego idzie".

A chociaż godziny dnia, które są, i noce, które luzują dnie, coraz więcej przynoszą łez, nieszczęść, zbrodni i krzywd, chociaż ostatnio oprawcy niemieccy nowy wynaleźli sposób znęcania się nad ludnością polską, odbierając matkom dzieci — to jeszcze nie należy beznadziejnie opuszczać rąk. Jeszcze można, jeżeli wszystko zawiedzie, krzyczeć, protestować, wołać o krzywdzie ludzkiej tak głośno, ażeby usłyszał o niej, i pojął ją cały świat. „Jeden wielki krzyk — „Nie!" — ma być odpowiedzią na wezwanie rozdziału matek od dzieci". A gdy krzyk nie pomoże: „bić, czym popadnie...".

Jutro, być może, będzie ostatnim dniem życia. Będzie może długimi godzinami najstraszniejszej z tortur człowieczych, liczeniem uciekających chwil życia. Ale i wtedy, ci, którzy pozostaną, wierzyć muszą w tę prawdę najoczywistszą, że dzień nadchodzi, w którym „stanie naród cały pod bronią, ażeby nie wypuścić z ziemi polskiej ani jednej bestii niemieckiej. W momencie decydującej rozprawy, każda kobieca ręka musi być na swój sposób uzbrojona. Jak lwowskie dzieci z 1918 roku do stracenia nie mamy nic, do zyskania wszystko".

W następnym z kolei artykule pod tytułem: „Tułacze czy goście?", inna autorka omawia bolesną sprawę przymusowych przesiedlań wsi.

„Miał człowiek własny dom, własny zagon, na którym siał ojciec, pradziad i siać miał kiedyś wnuk. Każde miejsce w chacie, każdy sprzęt w izbie, drogie były i bliskie, z każdym związane było jakieś wspomnienie, łączyło przeżycie. Wśród lat, które przechodziły, rósł i pomnażał się tylko dobytek, tło zostawało zawsze to samo. Było wiadomym z góry: — tu urodził się człowiek, żył, cierpiał, radował się, przeżył swój czas, tu umrze. Pewnego dnia przyszli oni — Niemcy. Obstawili strażami chaty, nie dali z sobą niczego zabrać, w ciągu godziny likwidowali całą przeszłość człowieka: jego pracę, trud, miłość. Jakie w godzinę ogarnąć lat kilkadziesiąt" — mówi autorka. Potem, znana i nam wszystkim jazda w zaplombowanych wagonach. Śmierć z zimna i głodu. I koniec podróży w innej wsi „Generalnego Gubernatorstwa".

Tu następuje sedno artykułu, autorka zapytuje: — „Czy naprawdę zrobiliśmy wszystko, ażeby dom nasz był miejscem, w którym brat wita brata, siostra siostrę?". Autorka pragnie, ażeby wiedziały i czyniły wszystkie kobiety polskie tak, aby kęs dzielonej z drugim skąpej strawy nie był przysłowiowo kością w gardle, bo pamiętać muszą na zawsze kobiety polskie, że Polacy w kraju stanowią jedną wielką rodzinę. Że to, co spotkało jednych dzisiaj, już jutro może się stać udziałem drugich.

Sprawy szkolnictwa i oświaty nie zostały pominięte w „Żywii". W artykule: „Lepiej późno niż nigdy" mamy syntetyczny rzut oka na fatalny stan szkolnictwa obecnie i wnioski stąd wypływające na przyszłość Nowej Polski. Tej Polsce Jutra, która nadchodzi, brak będzie sił fachowych, kwalifikowanych, brak inteligencji w ogóle do pracy. Obowiązkiem tych, którzy uniknęli śmierci, nie tylko młodzieży, ale i starszych, jest nieustanna praca nad kształceniem samych siebie, a jeżeli posiadamy na to warunki — także nad kształceniem drugich.

ŻYWIA pismo kobiet

LISTOPAD 1942 ROK

„Twierdzą nam będzie każdy próg — Tak nam dopomóż Bóg"

F1

LISTOPAD — MIESIĄC WALKI I ZWYCIĘSTWA.

Listopad — przedziwny miesiąc. Przewinęły się przezeń zrywy Polski Walczącej jak ołowiem ku ziemi ciążące chmury, rozwiane na koniec wiatrem, roztopione słońcem.

Pierwszy listopada — pamiętna obrona Lwowa. Dzieci, kobiety, dorośli, starce zerwali się do obrony. Wszyscy, kto żyw stanęli do szeregu, chwycili za broń by nie dać, by obronić, choćby trupem własnym postawić barykadę, po której dalej nie przejdzie.

Dwudziesty dziewiąty listopada: powstanie listopadowe.

Jedenasty listopada — rozbrojenie Niemców. Przez wiele lat czczone przez wojsko polskie — jako dzień zwycięstwa.

Nowy nam się patrzy listopad, nowy dla niego dzień i rok. Idąc do tego wyzwoleńczego dnia skrwawiliśmy polskie drogi wzdłuż i wszerz. Skrwawiliśmy krwią własną. To jednak jeszcze nie koniec. Czeka nas jeszcze krwawa kąpiel we krwi niemieckiego zbira. Czeka nas krwawa robota w tępieniu każdej germańskiej gadziny, która kiedykolwiek ośmieliła się wstąpić na ziemię polską.

Kiedy? dziś jeszcze nie. Jutro na pewno, ale kto wie czy to „jutro", nie zbliża się do nas w tempie niezwykłym.

Wróg nie próżnuje, stawia szubienice, strzela, morduje, urządza łapanki, masowo wywozi naszą młodzież do wschodnich i zachodnich rzeźni, pali wsie puste, z których chłopi uciekli w lasy, pali wsie wraz z ludźmi, jeśli z nich uciec nie zdołali.

Zbliżają się chwile i rozstrzygnięcia wielkie!

Nic nie wiadomo, czy już jutro słowa bojowe naszej pieśni nie trzeba nam będzie zastosować w życiu.

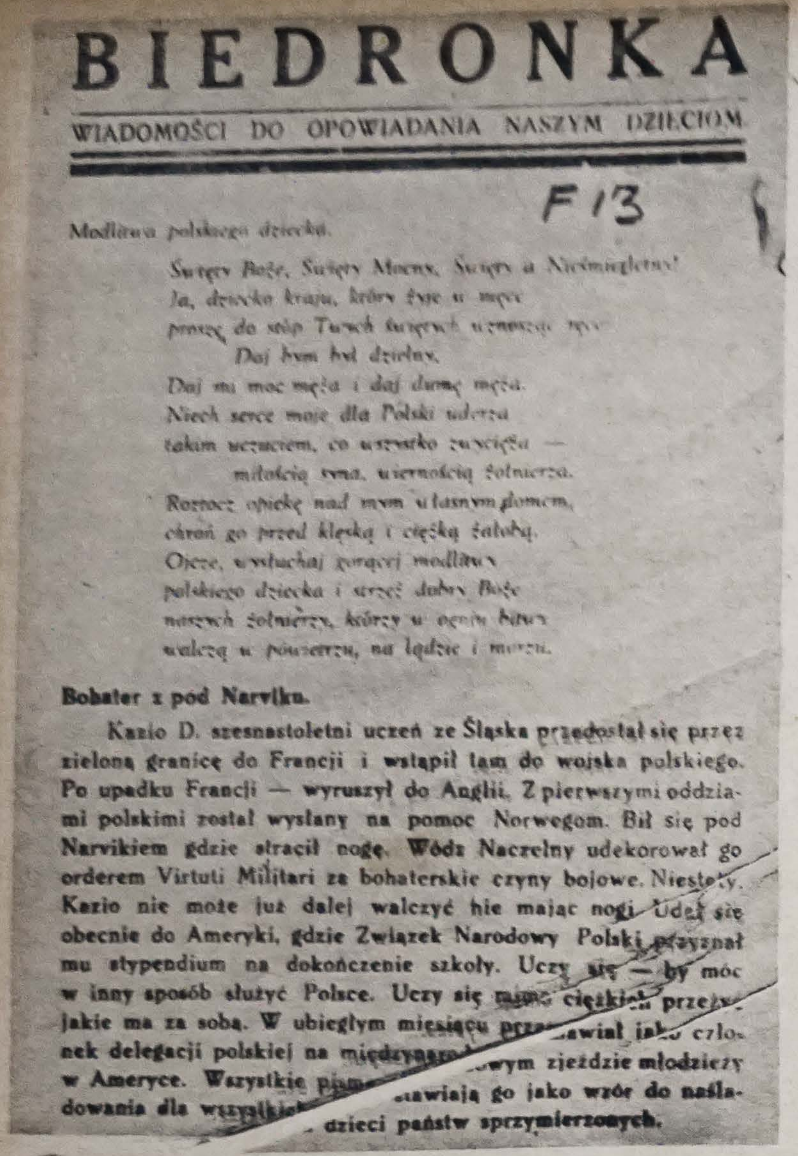

BIEDRONKA

WIADOMOŚCI DO OPOWIADANIA NASZYM DZIECIOM

F13

Modlitwa polskiego dziecka.

Święty Boże, Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny!
Ja, dziecko kraju, który żyje w męce
proszę do stóp Twoich świętych wznoszę ręce
Daj bym był dzielny.
Daj mi moc męża i daj dumę męża.
Niech serce moje dla Polski uderza
takim uczuciem, co wszystko zwycięża —
miłością syna, wiernością żołnierza.
Roztocz opiekę nad mym własnym domem,
chroń go przed klęską i ciężką żałobą.
Ojcze, wysłuchaj gorącej modlitwy
polskiego dziecka i strzeż dobry Boże
naszych żołnierzy, którzy w ogniu bitwy
walczą w powietrzu, na lądzie i morzu.

Bohater z pod Narviku.

Kazio D. szesnastoletni uczeń ze Śląska przedostał się przez zieloną granicę do Francji i wstąpił tam do wojska polskiego. Po upadku Francji — wyruszył do Anglii. Z pierwszymi oddziałami polskimi został wysłany na pomoc Norwegom. Bił się pod Narvikiem gdzie stracił nogę. Wódz Naczelny udekorował go orderem Virtuti Militari za bohaterskie czyny bojowe. Niestety, Kazio nie może już dalej walczyć nie mając nogi. Udał się obecnie do Ameryki, gdzie Związek Narodowy Polski przyznał mu stypendium na dokończenie szkoły. Uczy się — by móc w inny sposób służyć Polsce. Uczy się mimo ciężkich przeżyć, jakie ma za sobą. W ubiegłym miesiącu przedstawiał jako członek delegacji polskiej na międzynarodowym zjeździe młodzieży w Ameryce. Wszystkie pisma przedstawiają go jako wzór do naśladowania dla wszystkich dzieci państw sprzymierzonych.

Dominującą rolę w życiu społecznym i publicznym przyszłej Polski odgrywać będzie kobieta, która już dziś powinna być przygotowana na objęcie szeregu placówek dawniej zajmowanych wyłącznie przez mężczyzn. „Od naszego przygotowania i świadomości, zależeć będzie w dużym stopniu oblicze całego narodu" — pisze autorka artykułu: „Lepiej późno, niż nigdy".

Sprawie rozpijania wsi polskich przez Niemców, zarzucających tę wieś ogromnymi ilościami alkoholu, poświęcony jest artykuł pt. „Ważna praca na dziś i jutro". Autorka zwraca uwagę: „Wieś pije więcej, aniżeli piła przed wojną. Trzeba, ażebyśmy się orientowali, że jest to skutek celowej akcji stosowanej przez okupantów". Ale stąd wniosek: „Trzeba z tym skończyć. Idą takie czasy, że nie będzie w nich miejsca na półludzi, trzeba będzie się zdobyć na wysiłek najwyższy, na jaki stać. Nie wolno osłabić woli i rozprężać myśli".

Do numeru „Żywii" dołączone jest pisemko dla dzieci pod nazwą „Biedronka". Poza znaną już z przedruków w naszej prasie emigracyjnej „Modlitwą polskiego dziecka" — „Biedronka" zawiera kilka krótkich opowiadań o wojsku polskim w Anglii i nieco wiadomości polskich ze świata. Przy końcu numeru kilka charakterystycznych wskazań dla polskiego dziecka. Wśród nich najważniejsze: „Ucz się, bo Niemcy chcą, abyś był głupi — pilna nauka to też walka z Niemcami".

W pobieżnym skrócie, taki mniej więcej charakter posiada jedno z pism kobiecej prasy podziemnej w Polsce. Śmiało można osądzić na podstawie tego jednego przykładu, że w takim samym duchu wysokiego wyrobienia obywatelskiego i świadomości czekających przyszłych zadań, wydawane są i inne tajne kobiece pisma w kraju.

Kobiecie polskiej, walczącej swą nieugiętą postawą Polki z niemieckim okupantem, świat całkowicie pochłonięty sprawami wojny, przecież poświęcił nieco uwagi. W kilku oficjalnych przemówieniach i wzmiankach prasowych, podnoszono jej bohaterstwo, poświęcenie, cierpienia i ofiary, które stały się jej wkładem dla Wielkiej Wspólnej Sprawy. My wiemy tymczasem, że w strukturze psychicznej kobiety polskiej nie zmieniło się nic od wieków. W całym przebiegu dziejów Polski, w najważniejszych i najgroźniejszych zarazem dla ojczyzny momentach była ona, jest, i będzie zawsze ta sama. Z rzetelną dumą należy to stwierdzić po prostu: jest Polką.

MARIA VOIT

Wspomnienia z Podchorążówki

Pamiętam dokładnie dzień 29 listopada w roku 1941. Poprzedniej nocy spadł śnieg, który cienką warstwą pokrył, zdawałoby się odwieczne, błoto Tatiszczewa.

W małej, ciasnej kapliczce odprawiano mszę na intencje rozpoczęcia I-go kursu podchorążych piechoty. Młodzi ludzie o ziemistych i wynędzniałych twarzach, w najrozmaitszych mundurach, w lichej imitacji obuwia, a nawet w drewnianych chodakach bez zapiętek — to właśnie byli ci kandydaci na podchorążych, stojący w szeregach przed kaplicą.

Było mokro i tak zimno, że z wielkim trudem można było ustać na miejscu, a jednak zazdrościłam im szczerze właśnie tego, że stojąc tak ramię w ramię, stanowili jakgdyby jedną nierozerwalną całość, że przeżywali gromadnie w tym dniu momenty, które pozostawiają na zawsze w duszy ludzkiej pewne stałe wartości.

Z nogami przemarzniętymi do kości stałam w tłumie modlących się, a myśli moje gubiły się w znalezieniu możliwości dostania się do szkoły, oraz dróg jakimi musiała pójść moja prośba. Jedyna możliwość, z której później skorzystałam, to było stanąć do raportu do dcy dywizji z prośbą o zezwolenie na uczęszczanie na wykłady.

Po zameldowaniu się u dcy, wywiązała się między nami poważna dyskusja, po której wracałam do baraku z lekkim i miłym uczuciem zwycięstwa. Uzyskałam zezwolenie dla siebie i mojej ówczesnej zastępczyni Jadwigi W. Następnego dnia u dcy szkoły meldowały się dwie nowe kandydatki na kurs.

Przydzielono nas do 1 plutonu I kompanii. Nieco speszone, weszłyśmy na salę zajęć, gdzie stałyśmy się ośrodkiem dyskretnej obserwacji chłopców, co nie wpłynęło dodatnio na nasze samopoczucie.

Z pomocą przyszedł pan pułkownik, który nawiązując do historii i tradycji udziału kobiet w walkach o niepodległość, przedstawił nas jako nowe koleżanki i powierzył chłopcom opiekę nad nami. Jadwiga, ze względu na zły stan zdrowia, odpadła po kilku dniach, ja natomiast pozostałam do końca i muszę stwierdzić, że pan pułkownik w przewidywaniach swych nie omylił się. Jakże często korzystałam ze szczerej, bezinteresownej opieki kolegów, podanej zawsze w formie prostej lecz ładnej. Okres pobytu w szkole pozostanie w mojej pamięci jako jeden z najpiękniejszych okresów mego życia. „Chłopcy" zawsze grzeczni, usłużni, starali się tylko dopomóc, zwłaszcza wyraźnie to odczułam w czasie repetycji i egzaminów. Pamiętam, gdyśmy się uczyli dowodzić drużynami, a następnie plutonami, zdarzało mi się wydać przed frontem błędny rozkaz lub komendę. Chłopcy wykonywali jednak zawsze właściwą, i dopiero w krótkich przerwach między wykładami omawiali ze mną moje błędy. W szkole właśnie odczułam istotną współpracę opartą na głęboko zrozumiałym koleżeństwie.

Okres tatiszczewski, trwający do połowy stycznia przy 50° mrozie, braku paliwa i wiecznie pustym żołądku, był okresem najcięższym. Zwłaszcza najdotkliwiej dawał się we znaki mróz. Służba polowa, którą się tłukło co dnia, wymagała rozdwojenia uwagi, ze względu na konieczność zapobiegania odmrożenia twarzy, która w pewnej sekundzie, niespostrzeżenie przybierała kolor kredowo-biały. Jeszcze gorzej działo się nam na wykładach ze strzelectwa, gdy trzeba było zająć właściwą, strzelecką postawę. Dotkliwy chłód przenikał poprzez dziurawe buty i lichą odzież, zaś rękawiczki pozostawały w sferze marzeń.

Za cudowne uważaliśmy wykłady ze służby wewnętrznej i nauki o broni, bo odbywały się one w mieszkalnym baraku chłopców, w którym był nawet piecyk z gliny, ale bardzo często rozgrzewany tylko... naszymi oddechami.

Marzenia niekiedy stają się rzeczywistością, tak też stało się i z rękawiczkami, do których dodano i inne angielskie sorty mundurowe. Wszystko to dostaliśmy za niezawodnym pośrednictwem św. Mikołaja w wilię wigilii.

Chłopcy wyglądali tak wspaniale, że aż oczy rwało, zwłaszcza największy sukces odniosły ciepłe, wełniane, popielato-niebieskawe skarpetki, z których jedna z wielkim powodzeniem zastępowała szalik.

Wilia! Pierwsza od dwóch lat spędzona gromadnie według wszelkich obowiązujących przepisów. Barak mieszkalny chłopców lśnił od czystości i bielą angielskich, świeżo *zafasowanych* ręczników, paradnie rozłożonych na zaimprowizowanych stołach. W kąciku pyszniła się kolorami tanich papierków tradycyjna choinka. Było wyjątkowo ciepło i miło.

Małomówny kpt. D., dca kompanii, „trzymał" mowę, po której trącano się wódką, wydaną w tym dniu po 2 kieliszki na „twarz". Na przygryzkę był tradycyjny śledź, po którym zjawiła się zupa o nieokreślonym kolorze i o tajemniczej zawartości, a którą z miejsca ochrzczono barszczem. Były też i kluski, niestety bez maku, kompot, herbata i kawał białej bułki. Zdaje mi się, że wtedy naprawdę byliśmy najedzeni.

Kolędy szły jednak słabo. Może powodem była obecność naszego srogiego dcy., kpt. D., a może dlatego, że uniosły nas wspomnienia do domów rodzinnych, błąkających się w naszej wyobraźni w kształcie wielkiego znaku zapytania, a rodziny nasze, goniliśmy myślami po całej kuli ziemskiej. Ze śpiewem nie szło i tyle, ale było swojsko, było przytulnie, to wystarczyło.

Po Bożym Narodzeniu, dwa wielkie, zbiorowe przeżycia szkoły: przygotowanie się do odjazdu na południe i zezwolenie na obramowanie naramienników czerwono-białym sznureczkiem. Jedno i drugie wprowadziło wielkie zamieszanie. Oczywiście większe zamieszanie sprawiły sznureczki, których w naszym ówczesnym mp., w ZSRR, nie można było dostać. Z pomocą przyszły koleżanki z zaprzyjaźnionej kompanii PSK. W godzinach wolnych od zajęć, siedząc na pryczach, cięły, zszywały, skręcały biało-czerwone sznureczki. Ja otrzymałam z rąk moich dwóch miłych kolegów 1-ej drużyny dwa cenne kawałeczki, które przechowuję po dziś dzień. Przyszyto mi je już w wagonie towarowego pociągu, wiozącego nas na południe.

Południe, aczkolwiek istotnie cieplejsze, lecz mokre bez przerwy aż do maja, dało się nam porządnie we znaki. Okoliczne góry, na wiosnę pokryte barwami wschodnich dywanów, straciły dość szybko swoją atrakcyjność, ze względu na codzienne przymusowe czterogodzinne uganianie po nich.

Ubezpieczenia, obrona, podchodzenia, natarcia sprawiły, że w godzinach popołudniowych na wykładach z teorii, ogarniało człowieka przemożne uczucie senności za co... obrywało się.

Doszły ćwiczenia nocne z alarmami, które we wspomnieniach zajęły najmilsze miejsce. Cisza nocna, wydawane szeptem rozkazy, wolne posuwanie się oddziałków i karabin w garści dawały złudzenie, że tuż zaraz, za następną górką stoi, czai się tuż prawdziwy, odwieczny wróg, którego chciałoby się chwycić za gardło i odmierzając uderzenia za każdym razem powtarzać: — za... za... za... Jesteśmy już prawie na szczycie, serce wali jak młotem ze zmęczenia, z emocji. Zaraz coś się musi stać...

Gwizdek—przerwa w ćwiczeniach. Wszystko wypadło nie tak, jak przewidywały plany. Natarcie rozpocząć od początku, wrócić do podstawy góry. Złudzenia prysły. Rzeczywistość jest inna. Czy istotnie jest tak bardzo inna?

Nie ma na świecie takiej góry, której by człowiek nie zdobył. Taką górą dla nas dziś jest Polska i może jeszcze nieraz wypadnie w natarciu wrócić do jej podstawy. Ale wejdą na nią i ci z 1-go kursu i ci, którzy głęboko, sercem całym pragną znaleźć się na jej szczycie.

MARIA TROJANOWSKA

Koleżanki,

czytajcie nasze pismo „Ochotniczka"!

»Staż« ochotniczek

Na strzelnicy

Były to ostatnie dni kursu transportowo-zaopatrzeniowego, czas, w którym każdy ze słuchaczów, czy słuchaczek nie czuł się zbyt pewnie przed czekającym ich egzaminem, a nieszczęśliwe dusze kursantów zmieniały odwieczne miejsce zamieszkania i przenosiły się nagle i wbrew woli właściciela na ramię. Na domiar złego przyjechała inspekcja. Jeden pan pułkownik i drugi! I właśnie wtedy w czasie inspekcji padło magiczne słowo „staż". Pan pułkownik powiedział to zupełnie prosto: „A panie po kursie pojadą na tygodniowy staż", — ale nam to zwykłe zdanie padło egipską ciemnością na humory.

Już u siebie w namiotach przygotowywałyśmy rozpaczliwą kontrofensywę, każda na swój sposób. Jedne z nas przeprowadzały „wywiad", żeby w jakiś chytry sposób dowiedzieć się, jak się przedstawia plan strategiczny „nieprzyjaciela", drugie stosowały plan obrony biernej i w każdej chwili gotowe były do walki, inne postanowiły się poddać, a jeszcze niektóre z moich towarzyszek chwytały się metod Macchiawella i ponieważ nie mogły być lwami, chciały działać jak lisy: postarały się o skierowanie do szpitala.

Ale nieprzyjaciel był mocniejszy i dwadzieścia ochotniczek, ulegając w nierównej walce, pewnego pięknego majowego ranka załadowało się do aut i pojechało do jednej z kompanij transportowych, w której właśnie ów przedziwny staż miał się odbyć. Jechały wszystkie, — nawet ta, która miała skierowanie do szpitala, — trzymając się zasady, że: dla kompanii (broń Boże nie transportowej) dał się cygan powiesić.

Klęska nasza zaczęła się zaraz pierwszego dnia. Od meldowania się! To jest taka „pięta Achillesowa" całego PSK. Na oko wydaje się, że meldujemy się bez zarzutu, robimy to przecież przy każdej okazji, przynajmniej dziesięć razy dziennie, ale zwykle przy jakimś bardziej uroczystym meldowaniu plącze się giętki zazwyczaj język. Tak samo było właśnie i wtedy.

Stałyśmy wszystkie w szeregu, przepisowo wyciągnięte, jak struny, na prawym skrzydle komendantki, dalej ochotniczki, gdy nagle, tuż przed nami zjawił się rotmistrz, mąż o stalowym wzroku, owiany w naszych oczach jakimś mitem tajemniczym. Jeszcze na kursie straszyli nas koledzy, że jest to rycerz w pancerz chłodu i niechęci do ochotniczek zakuty i nawet najczarowniejsze uśmiechy nie zdołają zdjąć mu „marsa" z oblicza.

Zmartwiałyśmy ze strachu i ja nagle zrozumiałam kochanego pana Zagłobę, któremu w niebezpiecznych momentach życia zwykły mrówki po grzbiecie spacerować. Myślałam nad tym, skąd się wzięły na moich plecach tysiące mrówek, które nieproszone robią defiladę od pięt po czubek głowy, gdy tuż przede mną stanął rotmistrz. Strach sparaliżował normalną pracę mojego mózgu i załamał głos; meldując się, mruczałam coś niezrozumiale pod nosem, plącząc przydział, a nawet nazwisko i imię.

Rotmistrz spojrzał groźnie i — „głośniej!" — huknął na mnie. Do reszty straciłam orientację i inne koleżanki wraz ze mną. Gosia, stojąca koło mnie, rozpaczliwie salutowała, a mnie w jednej sekundzie tysiące sprzecznych myśli przebiegło przez głowę: „meldować się jeszcze raz!, a może nie trzeba?, powtórzyć to wszystko jeszcze raz, a może nie powtórzyć?" Wreszcie zdecydowałam się powtórzyć wszystko od początku, ale o kilka tonów wyżej. Rotmistrz poszedł dalej, ale i języki ochotniczek dalej się plątały.

Tak niewesoło zaczął się okres w naszym wyszkoleniu, zwany „stażem", który dla nas obecnie jest jednym z najmilszych wspomnień i mówimy o nim nie inaczej jak z tkliwym uśmiechem. Ale wtedy jeszcze wszystko przedstawiało się dla nas w szarych barwach i każdy dzień, jak nam się wydawało, niósł nam jakąś „niespodziankę", której w żaden sposób za przyjemną uznać nie chciałyśmy.

Wreszcie jednego dnia nowa wiadomość: Strzelnica z żołnierzami! Carramba! Strzelać to tam kiedyś strzelałyśmy, ale tak zaraz brać nas kobiety na strzelnicę...

Wieczorem „wyfasowałyśmy" karabin, hełm stalowy z siateczką, mnóstwo najróżniejszych pasków, paseczków, ładownic. Uginając się pod ich ciężarem, przyniosłyśmy te „drobiazgi", do kasyna i bezradnie usiadłyśmy nad całym stosem poplątanych ze sobą pasków.

— Doprawdy nie wiem, co z tym wszystkim zrobić, co do czego dopasować. Popatrz tylko, ta siateczka wygląda zupełnie, jak ta z lat dziecinnych na piłkę balonową, już pół godziny się męczę i wcale nie chce zmieścić się na hełm — mówiła Włada — poradź mi coś!

— Ja ci radzę, jak uważasz — odpaliła zdenerwowana Ryta — wszystkie paski mi się plączą, jest ich o wiele za dużo, widocznie w magazynie omylili się i wydali mi więcej niż trzeba.

— Jedno jest pewne — odcięła się Włada — wojsko to nie uniwersytet, tu musi się chociaż trochę myśleć.

Nie wiadomo czym skończyłaby się rozmowa przyjaciółek, gdyby nie zjawienie się rotmistrza, który popatrzył na zmartwione „pupilki" i krzyknął na szefa: — „Proszę zawołać podchorążych z plutonu, pokażą paniom jak się zakłada bojowe oporządzenie"! — Popatrzyłyśmy na groźnego wodza mniej przelęknionym wzrokiem i kiedy podchorążowie zapinali na nas paski, pokiwałyśmy głowami z uznaniem dla rotmistrza. Od tej chwili cały nasz pluton uwielbiał dowódcę, ale każda kryła się z tym przed innymi, myśląc w swojej naiwności, że pewnie tylko ona jedyna...

Na strzelnicy było stanowczo za gorąco, a szczególnie w czasie strzelania w maskach pgaz., toteż nikt się pewno nie zdziwił, że celowałyśmy Panu Bogu w okna zamiast w tarczę. Ale wracałyśmy z piosenką, dumne ze swojej pierwszej wspólnej z żołnierzami strzelnicy.

Zresztą zaczęłyśmy pomału przyzwyczajać się do trudnych ćwiczeń i chętnie dzieliłyśmy los żołnierski kompanii. Razem z żołnierzami czołgałyśmy się po brudnym pyle pustynnym w czasie ćwiczeń bojowych, razem jechałyśmy z nimi na pracę, razem stawałyśmy do kotła i na apel wieczorny, razem słuchałyśmy muzyki w kantynie.

Ale pewnego gorącego dnia majowego dowódca wezwał cały pluton PSK na odprawę i powiedział: — „Od jutra będę panie same dowodzić całą kompanią, oficerowie i podoficerowie dostają urlopy, zostają tylko szeregowi. Zrozumiano?!"

Wszystko było tragicznie zrozumiałe. Zostajemy nagle dowódcami kompanii, plutonów, szefami, podoficerami gospodarczymi i sekcyjnymi i musimy dowodzić całą męską kompanią. Odkąd ziemia nasza wyłoniła się z mgławic, coś podobnego nie zdarzyło się. Były podobno pojedyncze wypadki, że kobiety dokonywały cudów waleczności, zasiadały na tronach, broniły zamków, jak Zofia Chrzanowska, brały udział w powstaniu, jak Emilia Plater, ale żeby objęły regularne dowodzenie nad oddziałami męskimi... — tego jeszcze nie było.

Ryta, która była biegła w historii, dowodziła, że jest to pierwszy i jedyny wypadek w dziejach świata, a Wiśka-feministka twierdziła, że ludzkość idzie ku lepszemu i wracają przedhistoryczne czasy matriarchatu, kiedy to kobieta rządziła rodem. Ale te wszystkie tezy nie ratowały sytuacji. O sprzeciwie żadna z nas nie pomyślała, bo rozkaz jest rozkazem. Pozostało mieć tylko dobrą minę w tej grze, zakasać rękawy i wziąć się ostro do pracy. Poczułyśmy na sobie odpowiedzialność dziejową. Nikt inny, tylko my torujemy w tej chwili drogę kobietom całego świata! Maluczko, a któraś z nas zastąpi udającego się na urlop na przykład... gen. Montgomery i poprowadzi wojska Sprzymierzonych przez przełęcz Brenneru.

Trudności jednak były wielkie. Ot!... na przykład: wydawanie komendy. Ileż to razy u siebie w PSK obejmowałyśmy „całość na swoją komendę" i wszystko szło, jak z płatka. A tu nie wyszło, zaraz pierwszego dnia.

Była właśnie odprawa służb i „pani szef" plutonu stanęła lekko speszona przed oddziałem. Głos drżał ledwo dostrzegalnie, gdy podała pierwszą komendę: „Baczność, spocznij". Chłopcy wykonali szybko i automatycznie. „Baczność! Na ramię broń! Prezentuj broń!" — załamał się słaby głosik niewieści — i znów żołnierze, jak jeden z ironicznymi uśmieszkami na ustach wykonali ruchy z obojętnością godną „robotów". „Do nogi broń!" — zabrzmiała pewniej komenda i, o zgrozo! — żołnierze stoją nieporuszeni, trzymając karabiny na „prezentuj".

„Bunt!" — przemknęło przez starannie zafryzowaną główkę i zaraz refleksja: — „Pewnie było coś źle." A po chwili głośno: — „Na pewno się pomyliłam".

Zapoznają się z motorem

Chłopcy, jak chłopcy, trochę złośliwie ustosunkowani byli do „bab" w roli dowódców, ale przecież lubili je, więc trącili się porozumiewawczo łokciami i jeden, śmielszy, zaczął tłumaczyć: — To nic, my nie ze złości, nie chcieliśmy, broń Boże, sprawić przykrości, nie trzeba się martwić, wszystko będzie dobrze. My nauczymy — dodał z dumą więcej wiedzącego.

Pierwsze lody zostały przełamane. Chłopcy pomagali nam jak mogli. Ale pewnego dnia w kobiecym plutonie zawrzało jak w ulu. Wiadomość przyniosła służbowa, która tego dnia w bramie regulowała ruch.

— Słuchajcie — mówiła zdyszana i zdenerwowana — dwadzieścia motocykli wyprowadzono przed chwilą na plac, zaraz zacznie się szkolenie.

— Co? na motocyklach? — wykrzyknęłyśmy przerażone. — To nie dla kobiet! — wołały opozycjonistki. Ale były i zwolenniczki tego sportu. Nasza komendantka na przykład już naciągała przybrudzone spodnie, a kilka innych poszło za jej przykładem.

Wyszłyśmy na plac. „Opozycja" usiadła biernie na ziemi, trzymając kolana pod brodą i patrząc, co dalej będzie. Natomiast nasze „szalone" koleżanki zaczęły, lekko zdenerwowane, dosiadać stalowych rumaków. Najpierw ruszyły pomału, pierwszym biegiem i wyglądały z daleka jak na filmie wyświetlanym w zwolnionym tempie. Potem nagle przerzuciły bieg, dodały gazu, a nam, „opozycji", wydawało się, że siedzimy w warszawskim Luna Parku i patrzymy na „ścianę śmierci".

Więc najpierw szalała Gosia, cała w tumanach kurzu, w drewnianym hełmie na głowie, który z daleka przypominał melon, a skakał w lewo i w prawo, by od czasu do czasu opadać na błękitne oczy Gosi i przesłaniać jej i tak pociemniałe już pole widzenia.

Hop!... i nie krzycz hop, póki nie przeskoczysz! A właśnie Gosia przeskoczyła w tej chwili przez kierownicę i padła noskiem w rdzawy pył pustyni, a zmaltretowany „Matchless" położył się na oba koła. Ręczę, że odważna Gosia zobaczyła nie tylko gwiazdy na rozsłonecznionym niebie, ale i komin Baczewskiego, który pozostał we Lwowie.

Bronka zaś, mała, śmieszna dziewczynka — dalej pę-

scach działa — nie wiadomo. Dość, że cisza wierciła cały dzień w uszach, niezgorzej od huku nękając wprost i strasząc.

Pani Anna Dorota Chrzanowska skończyła właśnie ze służbą roznosić wieczorny posiłek po wałach. Zwykła to u niej rzecz chodzić z garnkami choćby wśród najgwałtowniejszej walki ogniowej. Wróciwszy do ślicznej kagańcami rozświetlonej komnaty, oparła się ciężko o stół.

Na tym stole jeszcze niedawno pisano ów sławny uniwersał: „My Rada obojga narodów tak katolickiej jak i greckiej religii, obojga miast starej i nowej Trembowli, pod wiarą i uczciwością przykazujemy, kiedy potrzeba okaże, zamku trembowelskiego mężnie i nierozerwalnie bronić, gardła swoje przy ojczyźnie łożyć gotowi".

Tymczasem widzi i czuje już pani Anna Dorota, że nie tak mężnie, nie tak nierozerwalnie... A wszakże, choć zameczek to niewielki, ale ważny punkt w ciele Rzeczypospolitej. Tyle opancerzony dlatego, tyle broniony, tyle świetny! Była Trembowla znacznym niegdyś grodem czerwieńskim, stolicą Rusi Podkarpackiej, zagarniętej Polsce przez kniaziów ruskich, a potem odbitej przez Kazimierza Wielkiego. Tędy szły wszystkie szlaki grabieżców wojennych i wszystkie spokojne drogi kupieckie od Kijowa przez Halicz dalej na Węgry. Tu, w tej komnacie popasał Kazimierz Jagiellończyk i wszyscy królowie troskali się o zamek. Każdy coś twierdzy przydawał, czymś ją zbroił, mieszkańcom miasta to ulgę niosąc w podatkach, to przymnażając praw. Jakżeby teraz paść miało miasto, ono, zawierzone jej mężowi? Jakżeby oddane miało być poganom w przeddzień prawie odsieczy?

Drzwi z łoskotem się rozwarły. Wpadł Jasiek, syn dwunastolatek Anny Doroty. Wyglądał jak młody jastrząbek o nastroszonych piórach i błyszczących oczach. Mimo, że matka mu wzbraniała, raz po raz wyrywał się na mury, a nawet sypiał na wałach, tak schowany, że odszukać go nie było można.

— Pani matko! — wołał teraz wzburzony — Czy wiecie, co knowają oni „zabieżanie"? Szedłem od Wawrzka, który w lamusie leży ranny i usłyszałem, że radzą w tym alkierzu na prawo. Nie patrzy im dobrze z oczu od dawna, więc podpełzałem pod drzwi i słuchałem... Chcą dziś o północku wywiesić żerdź z białą szmatą...

Głos drżał chłopcu, oczy skrzyły się od rozpaczy. Panią Dorotę poderwało z krzesła.

— Któż by się śmiał poddać, kiedy wyraźnie był rozkaz królewski, że raczej zginąć do jednego! Ojciec nie dopuści...

— Ojciec był z nimi — wyszeptał chłopiec ze spuszczoną głową. — Wykrzykiwali, że co się dało to uczynili, a więcej od nich wymagać nie można.

— A co ojciec? — pytała także szeptem pani Anna Dorota.

— Mówił najpierw ostro, tłumaczył potem i prosił, wreszcie w gniewie wyszedł. A wtedy oni zaczęli mówić o białej chuście. — Chłopiec zawahał się. — Ojciec także już nie wierzy w przyjście króla.

Zadygotały nogi pod panią Anną Dorotą.

— Ani mi się waż tak mówić, Jaśku! — krzyknęła. — Ojciec wierzy i przekona tamtych. Oddamy zamek, ale naszemu królowi. A teraz idź spać.

Szła wzdłuż murów śpiesznie, potykając się co chwila o wyrwaną z nich cegłę, czy kamień. Z ciszy nocnej dochodziły stłumione rozmowy żołnierskie, a czasem jęk rannych.

— Gdzie komendant? — zapytała pierwszego spotkanego wartownika.

— Przy baszcie narożnej.

I tam go też spotkała. W poświacie spokojnego ogromnego miesiąca rozmawiali coraz gwałtowniej.

— Nie dopuścisz, by się to stało — mówiła stwardniałym, niepodobnym do niewieściego głosem.

Odwrócił głowę.

— A ty? A Janko? — bronił się nieporadnie, uciekając przed jej oczyma gorejącymi.

— Nie my jedni — odparła. — Alboż mało zginęło w Rzeczypospolitej kobiet i dzieci? Zwyczajna to rzecz żonie i synowi żołnierza. A czyż nie szczęście ginąć razem, gdy razem żyć nie można?

Niewieścią przenikliwością dostrzegła, że jej ustępuje, ale się jeszcze waha.

— Życia zhańbionego z tobą nie podzielę. I wiedz sobie, że jeżeli inne sposoby zawiodą, pozostaje mi ten!

W wyjętym spod jubki nożu przejrzał się naraz księżyc.

Pan Samuel rozwartymi szeroko źrenicami patrzył na żonę. Onaż to jest, towarzyszka zgodliwa, mężowa służka cicha, gospodyni domu łagodna?

— Chodź taka między nich — odezwał się przekonany — im powiadać swoje racje, skoro moje nie wystarczyły!

I szła w miesiącu tak jak była groźna, choć piękna surowo, szła od kupy żołnierskiej do kupy.

— Nie tu wasze miejsca! — wołała srogo bardzo, bez białogłowskiej nieśmiałości — ale na wałach, gdzie każdemu komendant przykazał! Tam na pana swego i króla macie czekać, któren nadchodzi, Turczyna rozgromiwszy, cnotliwych żołnierzy nagradzać, a karać tchórze.

Trzasnął ten i ów w szable, rzekł pod nosem szpetnie, ale wracali, jako nakazywała, na mury, a co gorliwsi, wykrzykiwać nawet jęli na cześć królewską, a wychwalać fantazję swojej komendantowej.

*

Walka rozgorzała na nowo. Polacy otworzyli ogień pierwsi. Omal się nie zadławił żarłoczny Ibrahim Tłuścioch daktylami, gdy usłyszał pierwsze strzały.

— Co? Oni zaczynają?

Zaraz też przyniesiono mu list przejęty u złowionego jeńca. Było to pismo króla Sobieskiego do oblężonych z zapowiedzią, że najdalej w dwa dni stanie u bram twierdzy.

Więc omal po raz wtóry nie udławił się daktylami Ibrahim pasza.

A kiedy trzeciego dnia rano pan Samuel Chrzanowski spojrzał pod wschodzące słońce na okolicę — zdumiał. Nie było wokół ani jednego Turczyna, tylko daleko od strony Buczacza migotały jakieś proporce i szumiała jakaś fala.

— Król idzie! Odsiecz! Turki uciekły!

Rozdzwoniły się dzwony w opustoszałym klasztorze Karmelitów i u św. Spasa. Załoga, jak oszalała wybiegła z wałów na spotkanie. Całowano się i ściskano z płaczem.

A król jechał lekkim truchtem w zbroi, sam wesół i na wesołym koniu.

U wjazdu na zamek obejrzał zwały gruzów, poszczerbione mury i przyczółki, spojrzał na trupy.

— Ciepło tu wam było, widzę. Dziękuję, panowie bracia, z całego serca dziękuję!

I brał ich spracowane krwawe ręce w swoje, a pana Chrzanowskiego, zeskoczywszy z konia, przycisnął do serca.

— Miło mi panie oberlejtnancie zwać was odtąd pułkownikiem.

Szli obaj ze świtą ku komnatom, Chrzanowski zdając sprawę z oblężenia, król chwaląc go za komendę.

— Hm, różnie to z tą komendą bywało — odezwał się jakiś szlachcic rubacha. — Nic ja nie mówię na pana Samuela, bo wiadomo, że żołnierz dobry. Ale trzeba to rzec: miał tu komendant nad sobą komendantkę. Więc kiedy po niektórych z nas gęsia skóra oblatywała, to pani Chrzanowska zagrzewała do walki, ba, sama wraz z synem wyrostkiem nie schodziła z wałów, nieraz nawet pomagając przy działach.

— A gdzie ona jest, ta wasza pani Chrzanowska?

— Gdzieżby była? W kuchni!

Jak zwyczajnie, stała pani Anna Dorota przy ogniu. Usłyszawszy, że nadciąga wojsko polskie, pilnowała rondli, aby było czym pożywić żołnierzy i króla jegomości z nimi.

I właśnie, kiedy mieszała w ogromnej kadzi, otworzyły się drzwi kuchenne i stanął w nich jakiś potężny rycerz we wspaniałej zbroi o wąsie zawieszistym.

— Jezusie Nazareński! Przecie to król! — zakrzyknęła pani Anna Dorota i nie wiedząc jak ukryć fartuch kuchenny i zamieszanie, szczęście niewysłowione i zdumienie, rymnęła na podłogę.

A król uśmiechnął się i podniósłszy ją, prowadził na komnaty jak udzielną księżnę.

Kiedy stanęli pośród szlachty, zwrócił się do niej:

— Dziękuję waćpani, bardziej niż moim żołnierzom nawet. Wiem bowiem, co znaczy dla walczących, kiedy kobieta jest ich natchnieniem.

Tu zadumał się na chwilę, po czym rzekł znowu:

— Kto wie, pani pułkownikowo, może nadejdą takie czasy, kiedy wy nie tylko zameczki obronne, ale walącą się Rzeczpospolitę podtrzymywać będziecie sercem mężnym a natchnionym, ba, nawet i zbrojną dłonią. Polskę niewiastę na wszystko stać. Nawet na to — dodał z uśmiechem — że kiedy odepnie miecz od pasa, to przewiąże się sznurem fartucha i spokojnie pójdzie warzyć strawę mężowi czy dziecka kołysać do snu. Ta jest jej odmienność od kobiet innych nacyj.

Roześmiali się wszyscy chórem, patrząc na fartuch pani Anny Doroty, który ona w największym skonfudowaniu zaczęła odwiązywać.

M. J. WIELOPOLSKA

Kronika

NOWE KIEROWCZYNIE

W dniu 6. X. br. na terenie OZPSK odbyło się uroczyste rozdanie świadectw 43 nowym kierowczyniom samochodów. Ośmiotygodniowy kurs kierowczyń, przy dużym wkładzie pracy instruktorów i instruktorek, oraz pięknej ambicji kursantek, dał świetne wyniki. Uroczystość rozdania świadectw poprzedzona została mszą świętą, którą celebrował ks. prałat K a r k o w s k i. Aktu wręczenia świadectw dokonała zastępczyni inspektorki głównej Wysłouchowej — insp. Żylińska. Następnie zaproszeni goście, wraz z nowymi kierowczyniami, spożyli skromne śniadanie. — Cieszymy się, że wszystkie rozdane w tym dniu świadectwa stwierdzają wynik „pomyślny". Ale jeszcze bardziej cieszy nas to, że nasza rodzina transportowa powiększyła się o 43 kierowczynie, posiadające pełne kwalifikacje. Te nowe — na pewno będą miały te same ambicje pracy i spełniania swoich odpowiedzialnych obowiązków. Dobra opinia, jaką się cieszą nasze kierowczynie z PSK, powinna je pobudzać do fachowego doskonalenia się w służbie tak ważnej i tak zaszczytnej.

EGZAMIN NA POMOCNIKÓW MECHANIKÓW

Po kursie, trwającym 7 tygodni, połączonym z praktyką, odbył się dnia 14. X. br. egzamin kierowczyń samochodowych jednej z Kompanii Transportowych PSK. Do egzaminu stanęło 19 kierowczyń. Wszystkie zdały z wynikiem pomyślnym. Egzaminowane wykazały dużą znajomość fachową i zamiłowanie do pracy w dziedzinie mechaniki. Należy tu zaznaczyć, że jest to pierwsza grupa pomocników-mechaników ochotniczek PSK w naszej armii; pierwsza i nie ostatnia. Dowiadujemy się, że i inna kompania transportowa PSK również szkoli u siebie pomocników mechaników. Usprawni to znacznie naszą pracę w transporcie i usamodzielni nasze kierowczynie. Tym, które zdobyły nową placówkę pracy PSK — życzymy dobrych wyników.

KOMPANIA KANTYN POLOWYCH I BIBLIOTEK RUCHOMYCH

Jako jedyny oddział liniowy PSK, oddział władający bronią, dostarczyła Kompania Kantyn Polowych i Bibliotek Ruchomych ciekawego materiału korespondentom, którzy dokonali szeregu zdjęć na terenie Kompanii. Zdjęcia ilustrowały zajęcia i życie kompanii: modlitwę zbiorową, ćwiczenia i marsz z bronią, zmianę warty, służbę na posterunku, przyjazd kantyny polowej do oddziału itp. Zdjęcia mają być wykorzystane dla celów informacyjno-propagandowych (między innymi mają być wysłane do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej) i prawdopodobnie posłużą do zainteresowania się szerszego ogółu tym działem pracy PSK.

Daty 24 i 25 września oraz 8 i 9 października przeszły w Komp. Kantyn Pol. i B.R. pod znakiem egzaminów teoretycznych i praktycznych z motoryzacji i jazdy. Wyszkolona została ekipa kierowczyń, tym niemniej doskonalenie się ich w tym zakresie trwa nadal, wiedzą bowiem, jak odpowiedzialne mają zadanie.

I pluton Kompanii Kantyn Polowych i B.R. wziął udział w ćwiczeniach wojska. Praca świetliczarek-kantyniarek oceniona została pozytywnie przez dowództwo, a żołnierze przyjazd kantyn powitali z niekłamaną radością i życzliwością.

LIST DO REDAKCJI

Droga „Ochotniczko"!

Z prawdziwą radością powitałyśmy pierwszy numer naszego czasopisma. Czytałyśmy gromadnie i osobno poszczególne artykuły — dyskutując zapamiętale. Nareszcie pismo nasze, artykuły, które dają odpowiedzi na rzucane przez nas pytania! Ponieważ „Ochotniczka" to nasze czasopismo, ośmielamy się przedstawić Redakcji nasze „dezyderaty". Chcemy w „Ochotniczce" mieć przyjaciela, a raczej przyjaciółkę, która będzie łącznikiem między rozsypanymi w różnych mp. oddziałami PSK. Chcemy, aby „Ochotniczka" nie tylko była informatorem, ale naszym wychowawcą, aby nie tylko chwaliła, ale i karciła, aby przez dobór tematów pomogła nam w spełnianiu naszych obowiązków.

Czy możemy z zasadniczymi sprawami i wątpliwościami zwracać się do „Ochotniczki"?

Och. W.P.

ODPOWIEDZI REDAKCJI „OCHOTNICZKI"

Droga Koleżanko!

Bardzo serdecznie dziękujemy za list. Tak właśnie pragniemy, żeby między OCHOTNICZKĄ — pismem, a Ochotniczkami PSK było porozumienie i współpraca.

Prosimy pisywać do nas; będziemy się starały omawiać te sprawy i wątpliwości, które obchodzą PSK.

Redakcja OCHOTNICZKI

Piosenki PSK

Piosenka żołnierska powstaje nieomal tak, jak pieśń ludowa. Jej twórcy są zazwyczaj bezimienni. Wartości poetyckiej i muzycznej tych piosenek nie mierzy się kategoriami wielkiej sztuki. Naiwna i prosta, smutna i wesoła, poddana rytmowi kroków żołnierskich, jest piosenka żołnierska wypowiedzią gromadnych uczuć. I tylko wtedy popularyzują się te zwrotki, gdy wszystkim odpowiadają swoją treścią i melodią.

Bywają i takie pieśni żołnierskie, których autorami są znani poeci. Wiele pieśni dostąpiło tego zaszczytu, że stały się hymnami. Tak właśnie pieśń Legionów Dąbrowskiego z mazurka przekształciła się w Hymn Narodowy, a tuż po niej idzie „Warszawianka". Pieśń I Brygady Legionów Piłsudskiego jest tym trzecim hymnem, który w Polsce odrodzonej budził dumne uczucie wyzwolenia.

Niewątpliwie i wojna obecna wniesie do śpiewnika żołnierskiego nowe pieśni. Pieśń Brygady Karpackiej już zdobyła sobie prawo wieczności. Stwierdzić jednak należy, że wojsko nasze tutaj na Wschodzie nie jest rozśpiewane. Nie tu jednak miejsce na szukanie przyczyn tego zjawiska. Chcemy zająć się tylko wycinkiem tego zagadnienia: — piosenką PSK.

Ochotniczki, w związku z rodzajem swoich służb, nie mają okazji i warunków do śpiewania zespołowego. Jedynie tylko nasze „drajwerki", tworząc specjalną grupę, zdobyły się na swoją pieśń. Ich praca bowiem, wcale nie łatwa, daje im poczucie wartości oczywistej i określonej. Jest w nich radość siły i sprawności fizycznej. Dają jej wyraz w śpiewkach. Nie wszystkie są „własnego chowu". Wiele jest parafrazowanych piosenek żołnierskich, wiele ma zapożyczone melodie.

Są i inne pieśni ochotniczek, nie tylko tych z transportu. Niektóre przyjęły się i spopularyzowały. Zamieszczamy te najbardziej śpiewane, aby zachować je jako dokumenty naszej żołnierskiej służby.

Chciałybyśmy jednak uratować przed zapomnieniem wszystkie piosenki PSK. i dlatego zwracamy się do koleżanek z wezwaniem, żeby nam nadsyłały teksty i nuty piosenek śpiewanych w oddziałach PSK. Drukowane w naszym piśmie, nie tylko będą utrwalone, ale i rozpowszechnione w szeregach PSK. Zapewne mają swoje piosenki i „te z łączności" i Kompania Kantyn i Młodsze Ochotniczki, a może i siostry PCK. Nasze pieśni — właśnie naiwne i proste, o rymach nieraz bardzo koślawych — są dla nas drogie, jak to wszystko, co przeżywamy.

My z transportu

W wojnie sprawa ta, to znaczenie ma,
Transport ważny czyni gest, bez transportu źle,
Każdy o tym wie.
Wróg odczuje bliski kres.

Bo my z transportu, bo my z transportu,
Robimy to dla sprawy świetej nie dla sportu,
Bo my z transportu, bo my z transportu,
Robimy dla maszyn zwycięstwa, nie dla akordu.

W tenisa grać dziś nieciekawa zabawa,
Bridge i dancing precz !
Dziś najważniejsza tylko rzecz,
By dotrzeć szybko do Warszawy,
Maszyną wjechać wprost na most.
Bo my z transportu, bo my z transportu itd.

Z nas każda czule, maszynę tuli —
To obowiązek nasz,
To serca płynie głos,
Już najwyższy czas, żeby każda z nas,
Pomoc wojsku mogła dać
To dziewczyna zuch, puszcza motor w ruch,
Chłopcy będą wroga prać.
Bo my z transportu, bo my z transportu itd.

PSK

Czy na strzelnicy, czy w świetlicy,
W bateldressie, czy w spódnicy,
Kto pierwszeństwo ma?
Ukochane PSK.
PSK dziewczynki same cuda,
PSK ten kawał nam się udał,
PSK to jak melodia gra,
Bo to jest PSK, kochane PSK.
Po latach przyjacielu,
Spotkasz babcie na weselu,
Poznasz — przecież babcia ta,
To z naszego PSK.
PSK dziewczynki same cuda itd.

Ochotniczka

(melodia „Pod zielonym dębem")

I to już minęło, jest szara spódniczka,
Albo krótkie szorty, oto ochotniczka
Ćwiczy marsze, zwroty, pościg i natarcie,
O walce za Polskę, marzy wciąż uparcie.
A jak pójdzie w ogień, taka będzie śmiała,
Że napełni dumą serce generała.